

2

CYWIL ŻOŁNIERZEM

Okolo piątej od strony Śródmieścia doszedł odgłos odległej strzelaniny, a po paru minutach było ją słychać zewsząd. Tylko Powiśle wydawało się względnie ciche.

Powstanie zaczęło się, a ja byłem w domu, część mojego działonu na Mokotowie, a dowództwo na Woli.

Gdy wypełniałem czas czytaniem na leżąco, sam w przytulnym mieszkanku na zacisznym Czerniakowie, dowódca SS i policji Obersturmbannführer [*Obersturmbannführer- pułkownik SS*] Geibel nie zaznał tego dnia spokoju. Niezwykły ruch w mieście postawił niemiecką policję na nogi. Od rana położenie w Warszawie według napływających meldunków było tak napięte, że Geibel osobiście o godzinie jedenastej udał się do gubernatora dystryktu warszawskiego SA Obergruppenführera [*Obergruppenführer - generał SA*] Fischera, aby nakłonić go do przyjechania do dzielnicy policyjnej, gdzie miałyby odpowiednie warunki bezpieczeństwa. Gdy Fischer odmówił, bo nie wierzył w powstanie Polaków, Geibel posłał mu do ochrony kompanię policji.

Przed godziną drugą w północnej części miasta wybuchła strzelanina z patrolem, który usiłował zatrzymać powstańczy transport broni przewożonej pośpiesznie w ostatniej chwili. Policja wsparta czołgami zorganizowała obławę i przypadkiem zaskoczyła inny oddział w czasie pobierania broni. Walka rozszerzyła się na kilka ulic i postawiła Niemców na Żoliborzu w stan zaostrego pogotowia. Tu i ówdzie dochodziło do starć z Niemcami, którzy zaczęli podejrzanie wyglądających powstańców, śpieszących na łeb na szyję na miejsca zbiórek.

Obersturmbannführer Geibel pisze: „O godzinie szesnastej mój urząd w Alei Róż otrzymał telefoniczną wiadomość od jakiegoś porucznika lotnictwa, że dowiedział się uprzedniej nocy od pewnej Polki o zarządzeniu ogólnego powstania na pierwszego sierpnia godzinę siedemnastą. Kobieta błagała go, aby opuścił Warszawę. Chociaż oficer przemilczał swoje nazwisko, dałem wiarę wiadomości, rozkazałem dowódcy policji porządkowej, aby obsadził wszystkie przygotowane stanowiska, zawiadomiłem dr Hahna z Sicherheitspolizei i zameldowałem telefonicznie gen. Stachelowi”.

Główny sprawca tego zamieszania, gen. dywizji Tadeusz Bór Komorowski, u schyłku uprzedniego dnia wydał rozkaz rozpoczęcia Powstania, jakoby ponaglony plotką przyniesioną przez pułkownika Montera o wkraczaniu Rosjan na Pragę. W obawie, że Armia Sowiecka ubiegnie go w zajęciu Warszawy, Bór skrócił czas mobilizacji własnych oddziałów z dwóch dni do praktycznie dwunastu godzin, co było niewykonalne.

Bór sam dostał się w tarapaty już przed szesnastą, tuż po dotarciu do swego punktu dowodzenia. Przez parę godzin życie jego wisiało na włosku i nie wiedział, co się dzieje na mieście. Opisał te wydarzenia kilka lat później na bardziej optymistyczną nutę, co pozwolę sobie opatrzyć własnym komentarzem w nawiasach.

A oto jego słowa: „30 minut przed godziną „W”, to znaczy o 16.30, wszyscy stali na stanowiskach (wszyscy, których zdążono w czas powiadomić - to znaczy połowa). Żołnierze odkryli broń (dostał co dziesiąty) i nałożyli biało-czerwone opaski (wystarczyło dla wszystkich). Dokładnie (!) o godzinie 5-tej aż błysnęły (!!)

ulice, kiedy naraz (!!!) otwarły się tysiące okien. Ze wszystkich stron grad kul posypał się na głowy przechodzących Niemców, na ich budynki, na maszerujące kolumny" (jak w kinie).

Wobec takiej rozbieżności wspomnień obu przeciwników nie pozostaje nic innego, jak zacytować opinię polskiego historyka gen. Kirchmayera, który w oparciu o dokumenty stwierdził, że Niemcy obsadzili stanowiska ogniowe i dowódcze jeszcze przed godziną siedemnastą i zaskoczenie nie udało się.

Z balkonu patrzyłem na zachód ponad ogrodami Frascati. Tu i ówdzie wznosił się dym. Co robić? Czekać w domu na wkroczenie Rosjan? Przepuścić taką okazję, a potem żałować do końca życia?

Nastawiłem wodę na ogień i zagniotłem kluski, bo od rana nic nie jadłem. Napoleon mawiał, że armia maszeruje na brzuchu. Na ubranie naciągnąłem szary, roboczy drelich, wzułem buty z krótkimi cholewkami na gołe stopy. Dlaczego bez skarpetek? Może mi się wydawało, że to bardziej po żołniersku, po męsku. Kluski nie udały się, nie do jedzenia, zrobiłem je za duże i w środku zostało surowe ciasto. Minęła godzina, ucho już przyzwyczało się do strzelaniny.

Do kwatery mojego działonu było około czterech kilometrów spaceru przez Śródmieście, skąd dochodziły odgłosy największej walki. Mogłem czekać, aż się ściemni i nocą przedostawać się na Wolę. A co będzie, jeśli Niemcy wycofają się pod osłoną ciemności i nie zdążę wziąć udziału w boju? Będę pluł sobie w brodę przez całe

życie. Kogo się tu poradzić? Może Wojtka? Czy mogę jednak nie wtajemniczonemu przyznać się, że należę do AK? Wprawdzie znałem go od paru lat, a poprzedniej nocy razem słuchaliśmy radia. Byliśmy więc współnikami zbrodni. Zanim przyszedł czas odcedzać kluski, doszedłem do wniosku, że konspiracja się skończyła. Skoczyłem więc na czwarte piętro, ale Wojtka już nie było.

Przez lornetkę teatralną, ze strychu, po raz ostatni przeglądałem okolice. Biało-czerwonych flag nie było widać. Tu i ówdzie dym wznoszący się kolumnami, jakby osiagając niewidoczny pułap już nie szedł wyżej, ale rozpląszczał się, ciągnął pasmami równolegle do ziemi i mieszał się z chmurami.

Do kieszeni na piersi włożyłem skarb rodzinny: kilka złotych dziesięciorubłówek z podobizną cara Mikołaja, złoty zegarek, pierścień z brylantem i garść złotych zębów. I tak wyruszyłem w bój o pustym brzuchu, bez skarpet, ze złotem i bez broni.

Powisłe czerniakowskie zewsząd otaczały niemieckie pozycje. Od zachodu, wzdłuż ulicy Rozbrat, było ich kilka. W szkole dziennikarskiej kwaterowała Schutzpolizei; na rogu Górnośląskiej w jednym gimnazjum ulokowało się SA, w drugim *Soldatenheim* [Dom żołnierza], a nieopodal, u Akademiczek, ukraińska *Hilfspolizei*; dalej, w gimnazjum Batorego, urządzono dom wypoczynkowy dla ozdrowieńców z Wehrmachtu; hotel sejmowy i budynki w ogrodach Frascati też obsadzały jakieś policje. Od południa zagradzał drogę stadion Wojska Polskiego - *nur für Deutsche* [Tylko dla Niemców] i stacja pomp; od północy - saperzy na wiadukcie mostu Poniatowskiego. Od wschodu - Wisła. Jedyne wolne przesmyki stanowiła ulica Książęca, ale i ją u góry przegradzał obsadzony przez Niemców bunkier przy szpitalu św. Łazarza, a przy placu Trzech Krzyży na jednym rogu *Radiohaus* [Dom radia], na drugim *Obst und Gemüse* [Owoce i warzywa], dwa sklepy *nur für Deutsche*. Nie wiem, jak teraz wygląda ulica Książęca, ale wtedy przypominała wijący się ku górze jar. Po prawej *zgliszca* z 1939 roku, po lewej domy.

Z bramy skręciłem ulicą Śniegockiej do Czerniakowskiej. Chłopak, który zameldował się rano, mieszkał przy ZUS-ie, chciałem go wziąć ze sobą na Wolę, ale w ostatniej chwili postanowiłem nie tracić czasu na szukanie. Kto wie? Może mnie zawdzięcza, że przeżył Powstanie i nawet o tym nie wie. Czerniakowska była prawie pusta, obok ZUS-u chodnik pokryty szkłem. U zbiegu czterech ulic stał porzucony tramwaj linii P.

Ludność tłoczyła się w bramach, schroniłem się i ja. Strzały padały z nieokreślonej odległości. Jak wynikało z gorączkowych rozmów, można było oczekiwać przybycia powstańców albo Niemców lada chwila. Minęło kilka dobrych minut, nim wypuściłem się samotnie w drogę. Człowiek, zwłaszcza nie obyty z wojną, czuje się bezpieczniej w gromadzie.

W miarę jak wspinałem się wymarłym wąwozem ulicy Książęcej ku Śródmieściu, strzelanina rozlegała się coraz głośniejsze. Przy szpitalu Łazarza nie było wartownika. Ku memu zdziwieniu przez plac Trzech Krzyży od strony Szucha przejechał wolno odkryty samochód z kilkoma lotnikami, którzy rozglądali się dokoła, nawet nie trzymając broni gotowej do strzału. Grupki cywilów przekraczały plac. Na Żurawiej przechodnie kręcili się bezradnie jak mrówki, gdy ich ścieżkę zagrodisz patykiem. Między Kruczą a Marszałkowską jakiś mężczyzna zawrócił mnie. Podobno Niemcy strzelali z gmachu poczty na Nowogrodzkiej. Tuż obok mieszkał Lolek marksista, mogłem u niego zatrzymać się aż do nocy, ale czas naglił. Znowu znalazłem się w kotle. Aleje Jerozolimskie i Nowy Świat kontrolowali Niemcy ogniem z Banku Gospodarstwa Krajowego. Na zachód stała poczta i Dworzec Główny, również w ich rękach. Jedynym możliwym przejściem na północ była ulica Bracka, przy założeniu, że nie strzelają z banku odległego o sto metrów. Pojedynczy cywile przekraczali aleje. Podniosłem ręce do góry i nie śpiesząc się przeszedłem na drugą stronę i dalej Bracką, Zgodą do Złotej.

Z pewną przesadą można by powiedzieć, że znajdowałem się w oku cyklonu. Detonacje dochodziły zewsząd, głównie broń maszynowa, zlewając się w nieustający terkot. Nieraz zdawało mi się, że walka toczy się na następnej ulicy, a gdy wolno podchodziłem, wybuchy cichły, oddalały się. Za to z większą mocą zrywały się gdzieś z tyłu, skąd szedłem. Przypominało to opowiadania o błędnych ognikach na bagnach. Błady płomyk migocze, idzie się ku niemu, aby raz w życiu zobaczyć, co to naprawdę jest, ale w miarę zbliżania się on się oddala i zwodzi dalej.

Nie miałem pojęcia, czy jestem jeszcze pod okupacją, czy już na wolności i właściwie to nie wiedziałem, co bym wołał. Klucząc przeszedłem już trzy kilometry, a poza lotnikami w łaziku żadnej z walczących stron nie widziałem.

Na skrzyżowaniu Złotej z Marszałkowską nowa przeszkoda. Stoję z grupą ludzi przy wejściu do kina Palladium. Podobno na prawo, zaraz za rogiem, na Marszałkowskiej lotnicy zabarykadowali się i

strzelają do cywilów. Wtem ukazuje się pierwszy powstaniec z karabinem i biało-czerwoną opaską i wielce podniecony, jakby nic lepszego nie miał do roboty, rozdaje wczorajszy „Biuletyn Informacyjny”. Nie tylko, że wszystkie wiadomości są bez znaczenia wobec faktu wybuchu Powstania, ale i komu by się chciało teraz czytać. Pierwszy raz od 1939 roku ludzie stoją na warszawskiej ulicy z polską prasą w rękach i nikt ich nie aresztuje. Pojawia się kilku powstańców z opaskami na lewym ramieniu, z rewolwerami lub bez broni. Opowiadamy o lotnikach, jakiś chłopak podejmuje się wyprowadzić powstańców na tyły Niemców. Oddziałek znika. Po drugiej stronie Marszałkowskiej, na Złotej, gromada ludzi także kryje się za rogiem przed lotnikami. Parę kobiet przechodzi ulicę i nikt do nich nie strzela, wtedy inni nabierają odwagi. Trzech młodych mężczyzn biegnie w naszym kierunku jeden za drugim. Nie opodał słyszeć przytłumioną serię strzałów - nie wyróżnia się zbytnio na tle ogólnej kanonady. Powietrze na skrzyżowaniu odrobinę rozjaśniło się czy zaślniło. Pierwszy z biegnących zmienił nieco krok na środku jezdni, zrobił jeszcze parę metrów, zwałił się uderzając głową o krawężnik chodnika i znieruchomiał. Dwaj pozostali, którzy, jak to mówią, „uciekli grabarzowi spod łopaty”, dołączyli do nas. Oczywiście nikt więcej nie ryzykuje biegu przez Marszałkowską. Przyglądamy się trupowi i tym po drugiej stronie ulicy, co chcą przejść do nas, a oni robią to samo. Wtem zabity poruszył się. Zrazu zdawało mi się, że to złudzenie, ale nie, uniósł się nieco na rękach, jakby chciał wstać, i opadł, po chwili dźwignął się znowu, i jeszcze raz. Widząc to ludzie zaczęli wołać, że trzeba mu pomóc. Aby go dosięgnąć, należało wyjść ze trzy metry na Marszałkowską. Podeszedłem do samego rogu i z bliska przyjrzałem się leżącemu. Wierzch czaszki odskoczył jak pokrywa od garnka, a część mózgu wypadła na chodnik. Wyprężył ramiona jeszcze raz i uniósł się odrobinę. Wróciwszy do Palladium podzieliłem się spostrzeżeniami.

Długo czekaliśmy w bramie kina na likwidację lotników. Ludzie zaczęli się niecierpliwic. Najpierw kobiety spróbowały przejść Marszałkowską i tym razem lotnicy nie strzelili. Następnie odważyło się paru mężczyzn, więc poszedłem i ja powoli, z rękoma podniesionymi. Tak przebiełem się przez Śródmieście.

Strzelanina oddalała się, na ulicach pojawiło się więcej przechodniów i, choć nie widziałem powstańców, miałem przeświadczenie, że jestem po polskiej stronie. Wielu kończy wojaczkę z podniesionymi rękoma, mnie przypadło w ten sposób ją

rozpocząć.

Nim się zaczęło ściemniać, doszedłem na Łucką na miejsce zbiórki. Tam żona kolegi tapicera, tleniona blondynka, poinformowała mnie, że koncentracja jest obok, u Haberbusza na Grzybowskiej. Dziś nie pamiętam dobrze co robiłem tej nocy w browarze Haberbusza. Panował tam niesamowity mętlik, powstańcy nie znali się, poza kilku najbliższymi współkonspiratorami. Pierwszy raz dowiedziałem się, że należę do batalionu „Chrobry” i kompanii Lisa. Nazwisk nie używano, pseudonimy nadal obowiązywały. Niektóre powtarzały się tak często (Rysie, Żbiki, Jastrzębie, Sokoły, Orły, Jury, Lechy, Nałęczce, Ostoje), że prędeż można było kogoś odróżnić po głosie niż pseudonimie. Nieustannie nawoływano się w ciemności. Stawano w dwuszeregu, liczono się, gubiono, szukano.

Moje najgorsze przeczucia zdawały się sprawdzać: spóźniłem się na Powstanie. Obecna kwatera, browar Haberbusza, została oczyszczona z Niemców w czasie, gdy ja przebijałem się przez Śródmieście. Choć strzelanina nadal trwała, krążyły wieści, że opór niemiecki załamuje się. Przyprawdzono trzech jeńców - żandarmów, jeden z nich odgrażał się i uciął dopiero, gdy dostał po mordzie. Zaczął padać deszcz, jedyny deszcz w czasie dwóch miesięcy Powstania. Broń miała przybyć lada chwila, tymczasem rozdawano biało-czerwone opaski. Poniżej kompanii nie było żadnej organizacji. Dowódca baterii, podporucznik Lew, nie stawiał się. Z mojego działonu odnalazł się nieoczekiwanie Hutnicki z Mokotowa, kpr. Jur z Pragi i Sław z Chałubińskiego. Zostali powiadomieni w czas. Oczywiście stawili się tapicer z Łuckiej, jego kuzyn Zychler i szwagier Orzeł, którzy mieszkali nie opodal. Poznałem się z dwiema młodymi sanitariuszkami przydzielonymi do naszego plutonu - Sylwią, blondynką, i Zosią, brunetką z blizną na szyi. Dowiedziawszy się, że kompania Lisa jest jednostką piechoty, nie mogłem pojąć, dlaczego to ma być mój oddział, zwłaszcza że w konspiracji nigdy o poruczniku Lisie nie słyszałem. W miarę jak mijał czas, coraz mniej rozumiałem. Raz po raz roznosiła się wieść o nadejściu broni. Natychmiast ustawialiśmy się w dwuszeregu, licząc się przy błękitnym świetle latarek i spisując pseudonimy. Maszerowaliśmy albo przepychaliśmy się tam, gdzie miano ją rozdawać, kluczyliśmy po piwnicach i korytarzach browaru, mokliśmy na deszczu. Woda ściekała mi do butów. Ciemne niebo rozjaśniały łuny pożarów. Bałem się zgubić, by nie być ostatnim po broń - i tak przechodziła godzina za godziną, aż zaczęło świtać. W wirze setek nieznanych twarzy zaczynałem już

odróżniać niektóre... Strzelec Groźny, wielki kudłaty łeb, czerwona, bezczelna gęba, odszczekuje się dowódcom. Tamten znowu z naganem na powrozie zarzuconym wokół szyi. Piegowaty podporucznik w granatowej cyklistówce, Konar czy coś takiego. Ppor. Tytus - chudy, drobny, o kościstej twarzy i wpadniętych oczach à la Goebbels. Rysował się już podział na powstańców pierwszej i ostatniej kategorii, uzbrojonych i bezbronnych.

Co jakiś czas wpadał na podwórze browaru oficer po ochotników na wypad. Tak zobaczyłem po raz pierwszy wysokiego, postawnego, łysiejącego blondyna w randze kapitana. Potrzebował kilku „chłopów z jajami”. Wyrażał się oględniej od młodszych oficerów. Zgłosiłem się i ja. Rzucił na mnie okiem, ale wybrał innych. Na wypad brano głównie uzbrojonych, a innych tylko wtedy, gdy wykazywali wyjątkowego żołnierskiego ducha. Sądzę, że może bagnet, długi fiński nóż, a na pewno i średniowieczny łuk by wystarczył. Wkrótce dowiedziałem się, że był to dowódca batalionu kpt. Sosna. Oficerowie poprzyczepiali sobie gwiazdki, ale reszta nie miała żadnych odznak. Dowódca mojej kompanii, śniady brunet o krzywym nosie, por. Lis, jest kawalerem krzyża Virtuti Militari. Otrzymał go w 1939 roku.

Dostaliśmy się w łapy tego podporucznika w granatowej cyklistówce, o tłustej, piegowatej twarzy, niewyparzonej mordzie i ohydny głosie. Wciąż musztrował, poganiał, przeganiał, wyzywał i spoglądał na nas z obrzydzeniem.

- To nie harcerstwo - wydzierał się - to jest wojsko.

Usłyszawszy to po raz pięćdziesiąty czy setny, odczułem mdłości. Co by się zrobiło czy powiedziało, wyzywał od harcerzy. Na widok swojego plutonu, jak ktoś później trafnie zauważył, dostawał wzdęcia języka. Pojawiali się też inni nieznani podporucznicy, podchorążowie, podoficerowie. Ustawiali nas, odliczali, musztrowali, zapisywali, rugali.

Kanonada zaczęła się nasilać. Podobno czołgi przebijały się Towarową do Wolskiej i wycofywały na zachód. To znowu jakoby wracały z zachodu i z Wolskiej skręcały w Towarową. Pojawili się ranni. Wyobrażałem sobie Powstanie jako wielką przygodę - „na oklep na koniu, kochanka w jednej ręce, rewolwer w drugiej”, jak podkpiwał ze mnie mój przyjaciel Lolek marksista.

A tu siedzę w browarze, stoję na baczność, robię zwroty, przysłuchuję się opowieściom o tych, co walczą i czekam na przydział broni. Boję się nawet robić coś na własną rękę, bo skreślą z

listy powstańców jako dezertera i broni już nigdy nie powącham. I tak ciągnie się ten okropny dzień. Ci, co walczą, wracają z linii już częściowo przystrojeni w niemieckie uniformy. Jeśli mundur nie pasuje, wymieniają między sobą, rzadziej prehandlowują. Podaż mała, popyt ogromny. Niemiecka czapka, kurtka, pas, nie mówiąc już o hełmie, jest przedmiotem dumy i podziwu. Oficerowie, zwłaszcza starsi wiekiem, na ogół ubrani są po cywilnemu albo noszą części polskich przedwojennych mundurów. Tłum powstańczy jest w zasadzie odziany po cywilnemu, z pewnym odchyleniem w stronę żołniersko-sportowo-robotniczą. Tu i ówdzie nakrapiany wojskowymi czapkami, kurtkami, spodniami - jasnozielonymi przedwojennej armii polskiej, szarozielonymi Wehrmachtu i trawiastymi niemieckiej policji. Wiatrówki, drelichy, bryczesy, buty narciarskie, granatowe uniformy, czapki tramwajarskie, kolejarskie, furażerki, cyklistówki, berety. Wyróżniają się pasy: fryzjerskie do ostrzenia brzytw, niemieckie z napisem *Gott mit uns* i ozdobne oficerskie, jasnobrązowe, inkrustowane mosiądzem. Aby zapobiec rozstrzelaniu w razie dostania się do niewoli, każdy ma biało-czerwoną opaskę na lewym ramieniu.

Po paru dniach przyszedł rozkaz - przełożyć opaski z lewego na prawe. Powodem tego było, iż coraz więcej powstańców nosiło niemieckie mundury i zachodziła obawa, że jeden Polak może zabić drugiego. Przy strzelaniu, zwłaszcza z rewolweru, prawe ramię jest lepiej widoczne od lewego, więc opaski miały zapobiegać omyłkom.

Najoczywiściej rozkaz ten nie miał sensu. Niemcy zapewne doświadczali podobnych trudności w rozpoznawaniu własnych żołnierzy, a biorąc pod uwagę, że posiadali oni olbrzymią przewagę ognia, zamieszanie i trudności we wzajemnej identyfikacji mogły tylko powstańcom wyjść na korzyść. Poza tym Polak do bałaganu przyzwyczajony, a Niemiec traci głowę.

W przerwach między zbiórkami pętam się po podwórzu browaru, a dookoła wre bój. W Warszawie Powstanie, bitwa na wschodnim przedpolu stolicy, front od Bałtyku do Morza Czarnego, Włochy, Normandia. A tu, u Haberbusza, nie wiadomo, co się gdzie indziej dzieje i to nie z braku wiadomości, ale z nadmiaru. Czego się tu nie słyszy: Rosjanie przerwali front i obchodzą Warszawę od zachodu, Grodzisk już zajęty, Wehrmacht buntuje się i tylko SS walczy, Mokotów i Żoliborz są oczyszczone z wroga, Niemcy walczą tylko z Rosjanami, w Normandii poddają się Amerykanom. Na ogół obowiązuje zasada, że im dalszy teatr wojenny, tym pomyślniejsze

wiadomości. Wydaje się, że najtwardszy opór stawiają Niemcy w naszej dzielnicy.

Środkiem mego świata jest browar Haberbusza, a zwłaszcza jego podwórze. Sanitariuszki, jak zgłodniałe wilczyce, przepychają się do nielicznych rannych, aby pierwszy raz w życiu założyć opatrunek na prawdziwą ranę. Trzeba stać na nogach cały czas i niczego nie spuszczać z oka, by pierwszemu dopaść gdzie należy, nim zaczną rozdzielać broń. Teraz już nie mówią o broni z tajnych magazynów, ale tylko o tej zdobytej na Niemcach.

Z browaru wyruszają grupy wypadowe na linię. Linia to coś nieokreślonego, zbieranina nazw: Towarowa, Twarda, Waliców, Chłodna, Krochmalna, Grzybowska, Wronia, Ogrodowa, Nordwache [[Nordwache - komenda niemieckiej policji na Warszawę Północ](#)]. A wieści zmieniają kierunek jak fale w oku cyklonu. To Towarową uciekają płonące czołgi obrzucane butelkami z benzyną, politurą, pokostem, spirytusem, eterem. To znów na odmianę Towarową toczą się zwycięskie czołgi, domy stają w ogniu, ulica zastana trupami. I tak powoli dla nas, zgromadzonych w browarze, ulica Towarowa staje się najważniejszym frontem drugiej wojny światowej.

Po południu nastrój się pogarsza, w każdym razie mój nastrój. Nieuzbrojeni będą odesłani do domu. Tak się kończy sen o szpadzie. Czołgi znowu kręcą się w pobliżu. Gdzie spojrzeć - dymy pożarów.

Przystanąłem obok wartownika w bramie browaru. Uzbrojeni, choćby tylko w byle pukawkę, zaczynają odnosić się do nas jak do bandy dekowników i tchórzów. Ale ten powstaniec nie zadziera nosa, choć ma i karabin, i niemiecki hełm. Kulomiot strzela wzdłuż ulicy. Pierwszy raz słyszę zgrzyt kuł ślizgających się po murze. Dostaję mdłości, brakuje mi powietrza. Robię jednak wysiłek, by nie przerwać rozmowy. Wartownik wyjął lusterko z kieszeni, przetarł, ostrożnie wysunął je poza załom ściany i patrzy w odbiciu w stronę, skąd strzelają. Nagle uderza mnie coś niezwykle oczywistego, że strzelić to nie znaczy trafić, że kula, która przelatuje o krok od mego brzucha, jest równie niegroźna jak ta, która leci o kilometr, i nawet mniej groźna od nie wystrzelonej. Odczuwam wielką ulgę.

Już nie pamiętam pseudonimu wartownika, widywałem go od czasu do czasu, ostatni raz koło Pasażu Simonsa. Drasnęło go po głowie... nie mógł zdjąć hełmu, bo stalowa blacha wgniotła się do środka i wczepiła w skórę.

Wciąż wałęsam się po podwórzu, przy każdym kroku bolą mnie stopy, bo obtarłem skórę do żywego w mokrych butach na gołe nogi.

Mógłbym równie dobrze usiąść pod murem i wypoczywać, ale trzeba nasłuchiwać co w trawie piszczy, a najważniejszy pisk i najcichszy - to rozdział broni. Kleję się do tych, co uzbrojeni wpadają na podwórze opowiadając o niewidzialnym froncie. Złe wiadomości są złe, za dobre - też złe. Na wieść, że Niemcy skapitulowały i zawieszenie broni rozpoczyna się za parę godzin, gryzę się, że przepadła ostatnia nadzieja wzięcia udziału w walce.

Strzelca Groźnego zna cały batalion nie tylko dlatego, że jest wciąż na gazie. Pośrodku podwórza, otoczony potrójnym kręgiem słuchaczy, opowiada, jak to ze strachu wytrzeźwiał w okamgnieniu, pomimo wypicia półlitrowki przed akcją. We dwóch, on z granatem, a drugi powstaniec z rozpylaczem, zaczęli się w rozwalonym składzie przy Towarowej. Nadjechał czołg. Groźny rzucił wielki granat. Czołg zakręcił, stanął i jął strzelać dokoła. Groźny wczołgał się pod kawałek zerwanej blachy i przeleżał pod gradem kul. Po dłuższej chwili wyszli z czołgu żołnierze. Myślał, że po niego. Z kilkunastu kroków, spod blachy, przyglądał się, jak naprawili gąsienicę i odjechali. W tym czasie ten z rozpylaczem, uciekwszy wcześniej, zdażył rozpowszechnić wieść o śmierci kolegi. I tak Groźny przez godzinę był pierwszym poległym kompanii Lisa.

Pewien powstaniec z wielkim naganem u pasa, gdy się użalałem na beczynność, poradził mi:

- Tu, u Haberbusza, będziesz czekać na broń aż do usranej śmierci, przyczep się do grupy bojowej i, jak coś zdobędą na Niemcach, może dostaniesz.

Tymczasem, gdy w pobliżu nie ma czołgów, razem z ludnością cywilną wznosimy barykady. W ostateczności będę się chwalił w przyszłości, jak to je budowałem pod niemieckim ostrzałem. Lecą na ulice krzesła, stoły, łóżka fotele, blacha, obrazy, portrety Hitlera i nawet pierzyny. W języku wojskowym to się nazywa przestona. Starsi, zwłaszcza ci, którzy służyli w carskiej armii, twierdzą, że taka kula, która nawet grube drzewo przebije, zapłacze się w pierze i nie przeleci na wylot. Rosną też prawdziwe barykady z płyt chodnikowych, kocich łbów i worów z piaskiem. Na ogół niebezpieczeństwa nie ma. Raz słychać strzały z lewa i chowamy się po prawej stronie barykady, a po kwadransie na odwrót.

I tak się wlecze i wlecze ten dzień, aż druga noc Powstania zapadła. Deszcz ustał, ale gwiazd nie widać i szaroczerwone chmury wiszą nad browarem. Zszedłem do podziemi Haberbusza i, jak większość, zwałem się na podłogę. W półmroku leżymy, siedzimy,

drzemiemy, milczymy, rozmawiamy, słuchamy, nasłuchujemy, wstajemy, stajemy na baczność, odliczamy, sprawdzamy pseudonimy, a noc się ciągnie i ciągnie. Ktoś głośno oznajmia, że podchorąży Gołąb został postrzelony w szyję. Nigdy przedtem ani potem o nim nie słyszałem. Ale wiadomość o jego ranie musiała wywrzeć na mnie duże wrażenie, skoro do dziś ją pamiętam. Obok dwóch powstańców półgłosem rozmawiało o kimś, komu w walce z czołgami odłamek oderwał koniec kutasa. Zdjąłem mokre buty z obolałych nóg. Zosia z blizną na szyi założyła mi na otartą skórę opatrunek, pierwszy w jej powstańczej karierze sanitariuszki. Postarała się także o grube wełniane skarpety. Duża blizna na szyi pochodziła od odłamka bomby z września 1939 roku. Dziwnie się czułem, gdy mi obmywała stopy. Wiedziałem, że uważała mnie za prawdziwego żołnierza, a otartą skórę za prawdziwą ranę.

Potężny wybuch wstrząsnął browarem, tynk posypał się z sufitu. Ktoś wyjaśnił, że to „tygrys” strzelił. Jeśli pocisk ma taką moc, pomyślałem, że zakołysał piwnicami wielkiego gmachu, to co będzie, jeśli rzuci się na nas dwadzieścia „tygrysów”. Nie mogę sobie przypomnieć, co się działo potem tej nocy. Pamiętam tylko tyle, że gdy wyszedłem z podziemi i stanąłem na ulicy z granatem w rękę, chmury już ustąpiły gwiazdom i niebo zaczęło szarzeć po wschodniej stronie. Nie wiem, czy ktoś mi dał ten niemiecki granat o długim trzonku, przypominający tłuczek do mięsa, czy też go sam znalazłem.

Jedenastoletni chłopak w wielkim hełmie ze swastyką przykleił się do mnie.

- Panie! Panie! Ja panu pokażę, gdzie są Niemcy, chcą się poddać, chodź pan ze mną.

Prawdopodobnie szukał kogoś uzbrojonego, zauważył mnie. Wątpię, czy kogokolwiek innego tak łatwo by namówił. Znał okolicę, prowadził mnie głównie podwórkami i tyłami kamienic, aż znaleźliśmy się koło kina Faun. Po drodze, ku wielkiemu zadowoleniu i rozczarowaniu, znalazłem niemiecki hełm. Za mały, ale i tak go włożyłem, a raczej nasadziłem na czubek głowy. Uszy wystawały mi spod stalowej blachy, a hełm kiwał się i ześlizgiwał w biegu. Ręką musiałem go podtrzymywać. Z kina, leżąc na brzuchu, przez małe okienko na piętrze rozglądaliśmy się po okolicy. Przed nami po drugiej stronie Żelaznej, na skrzyżowaniu z Chłodną, stał nowoczesny budynek - obok bramy, bunkier i filary. A więc to jest ta sławna Nordwache, o której tyle słyszałem od dwóch dni. Widniało,

cisza... ani śladu człowieka, żywego czy trupa. Cała ulica zarzucona kawałkami cegieł, dachówek, tynkiem, szkłem, żelastwem, a wszystko pokryte szarym pyłem, który w mdłym świetle poranka nadawał przedmiotom miękkie, zaokrąglone zarysy bez kontrastów, bez cieni. Było w tym coś z krajobrazu innej planety.

Pośrodku Żelaznej, kilkanaście kroków od bunkra, stała platforma do przewożenia mebli, załadowana workami z cukrem. Nie opodał jeszcze jedna. Cztery konie spokojnie żuły obrok. Po drugiej stronie skrzyżowania znajdowała się kamienica Zommera, skąd do niedawna Niemcy strzelali przebijając się z Nordwache.

Sytuacja najwidoczniej zmieniła się od czasu, gdy chłopak był tu ostatni raz w nocy. Kamienica wydawała się wymarła - jak wszystko dokoła. Oczywiście Niemcy, jeśli jeszcze tam się kryli, nie mieli powodu strzelać w pustą ulicę. Lustrując okolicę, myślą nieustannie wracałem do hełmów, małego na mojej i dużego na jego głowie. Zaproponowałem zamianę. Chłopak najpierw nie zgodził się, choć hełm spadał mu na oczy i kolebał się przy każdym kroku. W jego rozumowaniu wielki hełm miał taką przewagę nad małym, jak parabellum nad damskim rewolwerem. Musiałem groźbą doprowadzić transakcję do końca. Po wymianie pasowały nam jak ulał.

Sprintem przebiegliśmy przed domem Zommera i wzdłuż ściany czynszowej kamienicy, słysząc tylko słabe echo własnych kroków i zgrzyt szkła. Wpadliśmy do bramy. To tu! Ścisnąłem granat w garści. Na końcu trzonka znajdowała się metalowa zakrętka. Zdawało mi się, że aby odbezpieczyć granat, wystarczyło ją odkręcić. Nie wiedziałem, że pod zakrętką jest szklana perełka na sznurku, którą wpierw należało pociągnąć, a potem dopiero rzucać. Ostrożnie posuwaliśmy się w głąb bramy.

W przeciwnym kącie podwórza stało dziesięciu Niemców z bronią u nogi, paru bez czapek. Wzajemnie przyglądaliśmy się sobie. Rozwidniło się już do tego stopnia, że nawet na dnie studni warszawskiego podwórka widać było szarą zieleń mundurów i ogolone twarze. Nie wiedziałem, co dalej robić. Zawołać *Hande hoch*? [Ręce do góry] - nie miało sensu, a niewiele więcej po niemiecku umiałem. Zresztą nie okazywali wrogich zamiarów.

Scena jak z krainy baśni: Niemcy to okrutni rycerze, na których ktoś rzucił kłutwę, i tak jak stali, zamarli bez ruchu na wieki. Jeśli krzyknę *Hande hoch!*, czar pryśnie, ockną się ze snu, wybuchną śmiechem i strzelą do mnie. I tak patrzyliśmy na siebie bez drgnienia,

bez słowa. Ugiąłem nieco kolano, gotów skoczyć w tył. Wtem żołnierz ruszył ku mnie wolnym krokiem, niosąc na ramieniu coś w rodzaju karabinu maszynowego, a w ręce metalowe pudło. Zatrzymał się obok, wręczył mi karabin maszynowy z wielkim płaskim bębniem, wyjaśniając słowem i ruchem ręki. Otworzył pudło - w środku znajdowały się taśmy amunicyjne. Lekko potakiwałem głową i kilka razy powiedziałem:

- *Ja, ja...* [*Tak, tak...*]

Niemiec mówił wolno, wyraźnie, że mógłbym powtórzyć słowa, ale i tak nie rozumiałem. W końcu odszedł w przeciwny kąt podwórza, my zaś podnieceni wypadliśmy na ulicę.

Wieść, że Niemcy kapitulują, musiała już dosięgnąć piwnic. Nie dowierzając głuchej ciszy, co odważniejsi cywile zaczęli gromadzić się w bramach, ale jeszcze nie wysuwali się na chodnik. Myśmy zaś szli środkiem jezdni, obaj w hełmach, opasani taśmami z amunicją, ja z olbrzymim karabinem maszynowym na ramieniu. Widząc nas tak pewnych siebie, cywile zaczęli wysuwać się na ulicę. Wkrótce cała gromada nas otoczyła. Ludzie, radośni i podnieceni, częstowali nas papierosami, które wsadziliśmy do kieszeni. Ja raz tylko w życiu zaciągnąłem się i zasłałem. Mojemu kompanowi też chyba zabrakło odwagi, żeby zapalić papierosa, zwłaszcza w obecności tylu dorosłych. Ktoś przybiegł z aparatem fotograficznym, pożyczyłem chłopakowi granat do zdjęcia.

Cywile wzięli nas za tych, co w trzydniowym boju rozgromili Niemców. Fakt, że mało co się odzywaliśmy, mówił sam za siebie. Stojąc obok mnie, po raz pierwszy od początku okupacji, czuli się zupełnie bezpieczni na warszawskiej ulicy, nie mając pojęcia, że ja nie umiem strzelać i nawet nie wiem, jak odbezpieczyć granat. Prawdziwych powstańców, tych, co walczyli, nigdzie nie było widać. Mijając cywilów, którzy w coraz większej liczbie wylegli na ulice, kierowaliśmy się do browaru, oczekując równie entuzjastycznego przyjęcia.

Nasz karabin maszynowy był najbardziej okazałą bronią, jaką dotąd widziałem w polskich rękach. Kule, olbrzymie, znacznie grubsze od zwykłych karabinowych i pistoletowych, miały kaliber 11,4. Żartowano, że jak się taką dostanie w głowę, to mózg uszami wychodzi.

Na oczach tłumu nie uzbrojonych powstańców przemaszerowaliśmy przez podwórze browaru do magazynu, gdzie znajdowało się dowództwo kompanii. Lis z zadowoleniem obejrzał

broń i pochwalił z umiarem. Nie było to typowe wyposażenie ani armii niemieckiej, ani armii polskiej, wzięli więc karabin maszynowy do rusznikarza. Wtedy dowiedziałem się, że był to amerykański thompson. Usiadłem i czekam. Różni podporucznicy, podchorążowie, podoficerowie, łączniczki, wpadali, pogadali i wypadali. Pojawił się także podporucznik Konar, ten w granatowej cyklistówce, o bladej, tłustawej, popryskanej piegami twarzy. Z miejsca mnie obsztorcował i kazał się wynosić. Po raz pierwszy postawiłem się, powiedziałem mu o thompsonie i że czekam na porucznika Lisa, który w tym czasie wyszedł.

- Dostaniecie inną broń - obiecał Konar i kazał mi iść do mojego plutonu, jako że komenda dowódcy kompanii nie jest miejscem dla łazików.

Nie usłuchałem. Inni podporucznicy, podchorążowie, sierżanci, plutonowi, kaprale także mnie się czepiali, ale zbywałem ich opowieścią o thompsonie i stwierdzeniem, że czekam na Lisa. Tak przeszła godzina lub dwie, zanim Lis wrócił. Musiał mnie widzieć wchodząc, ale potraktował jak powietrze. Odczekałem trochę, podchodzę, stukam obcasami, prężę się na baczność. Ledwie zacząłem:

- Panie poruczniku, starszy strzelec Krok melduje się..., a Lis do mnie:

- A wy co się tu kręcicie - mówi - odmaszerować do waszego plutonu. Na to ja na wpół zdławionym głosem:

- Panie poruczniku, a gdzie jest mój karabin maszynowy?

- Karabin maszynowy jest już na linii i nie jest wasz. Jest własnością Armii Krajowej. Nie zawracajcie mi głowy duperelami.

Odwrócił się i, rozmawiając z innym oficerem, wyszedł. Inaczej wyobrażałem sobie kawalera krzyża Virtuti Militari. Tak zostałem obrabowany i rozbrojony po raz pierwszy.

Szwendam się po podwórzu browaru, znowu jeden z kilkuset nieuzbrojonych, przygnębionych, z poczuciem osobistej klęski. Jakby dla kontrastu, wokół mnie nastrój odświętny, dzień zwycięstwa. Pojedynczo i po kilku przyprowadzają jeńców: żołnierzy, policjantów, folksdojczów. Zosia z bliźną na szyi poznała przebranego po cywilnemu SA-mana, dyrektora jej fabryki. Zaraz go schwytano i razem z kilkudziesięcioma innymi zamknięto w garażach Haberbusza. Na podwórze wjeżdżają zdobyczne ciężarówki, budy policyjne, do których łapano ludzi, ciągniki na gąsienicach, samochody osobowe, łaziki, motocykle. Przyjeżdżają też dwie

platformy z cukrem. Coraz więcej powstańców nosi teraz niemieckie mundury, hełmy i wojskowe buty. Wygląda, że i broni trochę przybyło. Ludność wyległa na ulice. Zdobyczne wozy jadą wolno, oblepione cywilami i powstańcami. Rozpoznaję wiele twarzy pośród tych „zwycięzców” - przez dwa dni razem wałęsaliśmy się po podwórzu Haberbusza.

Granat za pasem to jedyne, co mi daje status uzbrojonego żołnierza, więc pilnuję go jak oka w głowie. Tak długo, jak go mam, przedstawiam pewną wartość bojową i siłę ognia. Jeśli go rzucę w Niemców, znowu stanę się kibicem.

Od czasu do czasu obiega wieść, że „gołębiarz” strzela ze strychu i w okamgnieniu ulica pustoszeje na parę minut.

Mały oddział uzbrojonych powstańców przekracza szybko jezdnię. Wśród nich widzę Edka, z którym chodziłem do tej samej klasy gimnazjum przez trzy lata. Ledwo go poznałem w niemieckim hełmie. Twarz mu zmężniała, wyrósł, prawie mnie dogonił. Przed wojną przezywali go „pajdkiem”, a nawet „kucyk” na niego wołali. Choć taki mały, zadziorny był. W pierwszej klasie tylko my dwaj na trzydziestu chłopców nie wstąpiliśmy do harcerstwa z powodu wstrętu do zbiórek i salutowania. Ucieszyliśmy się ze spotkania.

- Co robisz? - zawołał Edek.
- Właściwie to nic - odkrzyknąłem.
- No to chodź z nami!

I tak dołączyłem do plutonu Kobuza w kompanii Wiernego, którą właśnie przerzucono na stanowiska wzdłuż ulicy Wroniej. Z rozmów dowiedziałem się, a o niczym innym nie mówili, o oblężeniu Nordwache. Na wniosek Edka, ku mojej ogromnej choć ukrytej radości, przyjęto mnie do drużyny podchorążego Kuby, która obsadziła skrzyżowanie Wroniej z Grzybowską. Było to ubezpieczenie browaru Haberbusza od strony Towarowej, gdzie nadal toczyły się walki, głównie z czołgami.

Zajęliśmy stanowiska na pierwszym piętrze. Ulicę przegradzała mizerna barykada, którą duży czołg rozjechałby, nie zwalniając zbytnio biegu. Wzdłuż ściany, pod oknami, ustawiliśmy rząd butelek z benzyną. Wokół butelek był przyklejony papier, który w zetknięciu z benzyną automatycznie zapalał się.

Wiele lat później, gdy zacząłem czytać po angielsku, dowiedziałem się, że zwykła butelka z benzyną miała wyszukaną nazwę *Molotov Cocktail*. Zapewne był to wymysł sowieckiej propagandy, rozpowszechniony przez zachodnie piśmidła. A oto inny

podobny przykład. My, w Polsce pod niemiecką okupacją, słyszeliśmy o straszliwej sile zniszczenia i grozie, jaką budziła wśród Niemców rosyjska wyrzutnia raketowa, zwana przez żołnierzy pieeszcotliwie „katuszą”. W książkach o wojnie w języku angielskim nazywano ją wyłącznie „organami Stalina”. Tak to prasa liberalnego Zachodu, zamiast rosyjskiego żołnierza czy konstruktora, sławiła dyktatora mordercę i jego pomagiera.

Z magazynu obok przyniosłem zapas politory i pokostu, rozlałem do pustych butelek, wytarłem je do sucha, aby się z ręki nie wyślizgnęły przy rzucaniu, i ustawiłem równo pod parapetem jak na paradzie, łebek w łebek. Potem obliczyłem, gdzie kule mogą rykoszetować i przestawiłem. Pedanteria, z jaką wypełniłem to zadanie, nie uszła uwagi obecnych. W razie ataku czołgów najpierw rzucimy butelki z benzyną, a gdy już się zapali, przyjdzie kolej na pokost i politurę.

Gadamy, jemy, moi nowi towarzysze słabną w oczach. Wkrótce zdejmują buty i walą się na łóżka, aby odespać dwie noce i czterdziestoośmiogodzinne napięcie nieustającej walki. Siedzę w oknie z przydziałowym karabinem i gapię się na ulicę. Pierwszy raz w życiu jestem na stanowisku bojowym i już mi ufają, że w razie niebezpieczeństwa nie ucieknę. Ludność razem z tyłowymi formacjami wzmacnia barykady. Ja, żołnierz frontowy, przyglądam się jak łomami podważają płyty chodnikowe, „kocie łby”, sypią piasek do worków. Młody powstaniec wyciągnął gipsowe popiersie Hitlera i popisuje się, rzucając je o barykadę, a w końcu rozbijając łomem na kawałki.

Nie opodał jakiś oficerek przyczepia się do cywilów, że źle układają płyty i worki z piaskiem, a czyni to z takim wigorem, iż brakuje tylko, by wyzwiał ich od sabotażystów.

Nagle ulica pustoszeje, przyszedł meldunek, że czołgi wjechały z Towarowej w Krochmalną. Oczywiście nikt nie śpi. Odebrano mi przydziałowy karabin, bronią moją jest benzyna, pokost i politura. Czołgi mogą nadjechać z prawej. W ciszy nad słuchuję warkotu motorów, wszyscy stoją gotowi. Wolę, żeby tym razem nie dotarły do naszej pozycji. Zastanawiam się, jak szybko czołg będzie jechał, czy będzie strzelał i co robić, jeśli nie zwolni na wprost okna, ale zatrzyma się, powiedzmy, dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści metrów przed barykadą. Wychylić się i rzucić butelkę lewą ręką, czy czekać? Jeśli nie trafię, to tylko zdradzę nasze stanowisko. Czy mam wyskoczyć na ulicę i podbiec do czołgu? Ciągną się minuty, nikt nie

wygląda na przelęknionego. Nieoczekiwanie czołg ukazuje się u wylotu Grzybowskiej na Towarową w odległości co najmniej stu metrów. Wolno przejeżdża skrzyżowanie i znika. Znowu coś pojawia się na Towarowej. Kuba natychmiast strzela z karabinu. Odczuwam ulgę, że on nie stracił głowy i przypomina mi się co opowiadano o nadzwyczajnej zawziętości i duchu bojowym podchorążaków.

Przez dłuższy czas nic się nie dzieje w polu widzenia. Cywile wysuwają się na ulice, barykada znów zaczyna rosnąć i ktokolwiek dotąd się nie wyspał, wraca na materac, a ja z powrotem dostaję karabin. Potem przychodzi kolej na moją drzemkę. Słońce zniża się, jemy, rozmawiamy, gwar głosów dochodzi z ulicy, ciepło. Wszystko to przypomina bardziej piknik czy odpust niż wojnę.

Przysłuchuję się opowieściom z pierwszych dwóch dni Powstania i zaczynam po trochu rozumieć, co się naprawdę działo. Mój wyczyn z thompsonem też znajduje uznanie, choć nic nie dodałem i nie ująłem.

Cały pluton Kobuza pochodził z Sadyby Czerniakowskiej. Dostali przydział na Wolę, na drugi koniec Warszawy, zgodnie z obowiązującą zasadą w konspiracji, aby nikt z miejscowej ludności, to znaczy na Woli, nie mógł ich zidentyfikować. Zawiadomienie o Powstaniu przyszło późno lub wcale i wielu nie dotarło na miejsce zbiórki. Straty też pomniejszyły oddział Wiernego i, w czasie gdy ja dołączyłem, jego liczebność spadła do około dwudziestu. Co szumnie zwało się kompanią, było w rzeczywistości drużyną. Kompania Wiernego, dobrze uzbrojona jak na Powstanie, głównie rewolwery, trochę karabinów i dwa pistolety maszynowe, skoncentrowała się w domu przyległym do Nordwache. Nieprzyjaciel nie dał się zaskoczyć. Gdy tylko padły pierwsze strzały, Niemcy spuścili od wewnątrz na okna druciane siatki, zapewne zawczasu przygotowane, by zabezpieczyć się przed granatami. Nasi, pod obstrzałem, nie mogli nawet przebiec podwórza domu, który obsadzili. Wkrótce nie pozostała ani jedna cała szyba, gdyż co pół minuty spadał granat z górnego piętra Nordwache. Po godzinie takiego bombardowania powstańcy przygłuchli, oczy im zapyliło i nie wiedzieli, co dalej robić. Z uznaniem opowiadali o Mongole z Nordwache, który ogniem karabinu maszynowego jak nożem wyciął okrągłą futrynę okienną na klatce schodowej. Nocą dopiero przegrupowali się do kina Faun. Wtedy pojawił się kapitan Kamień, szef sztabu batalionu, i rozkazał atakować wprost na bramę, obok iskrzącego się bunkra. Brak dyscypliny uratował ich, odmówili wykonania rozkazu. Mając mało amunicji, strzelali tylko na pewniaka,

gdy ktoś pokazał się lub tam, skąd błyskało. Po każdym strzale odskakiwali od okien, gdyż natychmiast sypał się na nich grad kul. Noc nie przyniosła powodzenia. Nordwache, zewsząd osaczona, odparła szturm.

Następnego dnia czołgi usiłowały przyjść z odsieczą Chłodną od strony Towarowej, ale zostały odparte. Ogień z Nordwache zelżał nieco. Trudno strzelać bez przerwy we wszystkich kierunkach, a z otaczających kamienic wзираło na Niemców kilkaset okien i powstańcom łatwiej było zmieniać pozycje. Jeden z domów, obsadzony przez naszych, przylegał bezpośrednio do wachy, inny oddzielony był małym podwórzem. Po południu samochody pancerne z czołgiem przebiły się Chłodną i próbowały ewakuować załogę, ale obrzucone granatami i benzyną cofnęły się.

U schyłku dnia wydarzyło się coś niezwykłego. Z bramy Nordwache spokojnie wyszedł Niemiec, bez kurtki, z rozpiętą koszulą, z rękoma w kieszeniach, bez czapki i stanął na skraju chodnika. Rozglądał się ospale, jakby dopiero co ocknął się z drzemki po obiedzie zakrapianym piwem i jeszcze mu w głowie szumiało. Było to takim zaskoczeniem, że na chwilę wszystkich sparaliżowało i nikt odruchowo nie strzelił. Potem każdy bez pośpiechu zaczął spokojnie mierzyć, by nie zmarnować kuli. Nagle Niemiec skoczył w bramę, huknęła salwa - wszyscy spuścili. Każdy pociągnął cyngiel o ułamek sekundy za późno. Powstańcy ulegli sugestii, że tak będzie stał i stał bez końca. Nikt nie rozumiał, o co Niemcowi chodziło, przecież nie wariat. Odpowiedź przyszła później.

Z zapadnięciem nocy powstańcy wznowili natarcie na Nordwache i na koszary SS położone w odległości około dwustu metrów w szkole przy ulicy Waliców. Centrale telefoniczne rozrzucone po mieście zawsze były obsadzone przez Niemców i w ciągu pierwszego tygodnia Powstania podobno można było uzyskać połączenie pomiędzy niektórymi dzielnicami. Ktoś z naszej kompanii dla żartu podniósł słuchawkę, by zadzwonić do rodziny na dalekiej Sadybie i usłyszał niemiecki język. Dali słuchawkę Edkowi, który rozumiał. To Nordwache meldowała rozpaczliwe położenie. Coś musiało się popsuć w stacji telefonicznej, skoro słyhać było wezwania o pomoc i w innych pobliskich aparatach telefonicznych. Pomimo to przy każdej próbie natarcia czy przegrupowania wacha sypała kulami i granatami.

Okolo północy straszliwa eksplozja wstrząsnęła okolicą. Tę

właśnie detonację odczułem w półmroku piwnicy browaru odległego bez mała o pół kilometra, a jakiś mądrała oznajmił wtedy: - „tygrys” strzelił. Posypał się gruz z nieba, kurzawa wzbiła się nad okolicą i przestroniła gwiazdy. Powstało straszliwe zamieszanie. Spadająca cegła złamała strzelcowi Szarocie przedramię. Okazało się, że to koszary SS na Walicowie wyleciały w powietrze. Powstańcy przedostali się na dach Nordwache i przez strych wdarli się na górne piętra. Niemcy przyczepiali ręczne granaty do zamkniętych drzwi w taki sposób, że przy ich otwarciu odbezpieczały się. Załoga Nordwache usiłowała przebić się do swoich, do ruin getta, ale w ciemnościach, wśród strzelaniny wielu się pogubiło.

Rozmowa wróciła do tematu koszar SS. Opinie były podzielone, jedni uważali, że esesmani wysadzili się, by nie wpaść w ręce Polaków; inni - że była to przypadkowa eksplozja. Ktoś nawet - może Kobuz, dowódca plutonu - wyraził opinię, że SS-mani przebili się z obłożonego budynku, który zaminowali, zastawiając pułapkę na Polaków. Nikomu to jednak nie wydało się prawdopodobne. Mnie, jak i większości, najbardziej odpowiadała pierwsza wersja à la Reduta Ordon. Trudno było uwierzyć, by Niemcy, tacy systematyczni, przypadkowo spowodowali eksplozję. Jedynie niejaki Kawka, zwany także Melunem, bo tak podobno wymawiał słowo melon, uważał, że Niemcom mogło się pomieszać w głowie ze strachu i sami się przez pomyłkę wysadzili.

Słuchając tych opowieści myślałem sobie, że wkrótce, może już za parę tygodni, uzbrojeni przez Rosjan i Amerykanów, jako regularna armia będziemy wyswabzać polskie wsie i miasta gdzieś na zachód od Warszawy. Żał mi trochę było, że ten okres partyzanckiej walki w gmatwaniu ulic, podwórek, strychów, piwnic, dobiega końca, zanim właściwie wziąłem w nim udział. Oficerowie będą się nas czepiać, musztrować, wbijać w głowę te wojskowe mądrości, jak np. że żołnierz bez czapki jest jak bez głowy. Niepokoiłem się też, że w otwartym polu nieprzyjaciel widzi z daleka i nie ma się gdzie ukryć.

Z tonu rozmów wyczułem, że nie tylko obawa przed Niemcami jako znakomitym wojskiem zmniejszyła się, ale także i nienawiść do nich. W wypowiedziach było sporo uznania dla ich żołnierskiego kunsztu. Zwłaszcza owo zdarzenie z żandarmem, który w rozpiętej koszuli wyszedł przed bramę, wzbudziło podziw. Zaraz po upadku Nordwache przypuszczano, co potwierdził jeden z jeńców, że był to trick celem wybadania, skąd idzie najstarszy polski ostrzał, aby wybrać odpowiedni kierunek przy przebijaniu się nocą.

O zmroku idę spać, budzą mnie o północy, dostaję karabin i razem z kilkoma innymi obsadzamy barykadę przyległą do naszego domu. Noc jest spokojna, gdy ktoś podchodzi, kierujemy broń w jego stronę i wołamy: -hasło? Postać zatrzymuje się i mówi półgłosem „Poznań”, potem pyta o odzew, jeden z nas odpowiada „Warta”. Scena powtarza się wiele razy w ciemności. Poza tym nie ma nic do roboty. Ja jestem rześki i wszystko mnie cieszy, ale inni są coraz bardziej śpiący. Położyliśmy uchwyty noszy na ceglach tak, aby płótno nie dotykało chodnika i jeden z powstańców ułożył się do snu. Rozmawiamy, palimy. Papierosa trzyma się między kciukiem i palcem wskazującym w ten sposób, że żarzący koniec jest zakryty dłonią i nic nie widać, a raczej prawie nic, gdyż czerwony odblask rozjaśnia nieco twarz. Za palenie na stanowisku dostaje się „opeer”, więc lepiej zgasić, gdy oficer blisko. Niebezpieczeństwa jest za mało, żeby się bać, ale wystarczająco, aby utrzymywać stan przyjemnego podniecenia. Podobno ogień papierosa widać z daleka na kilometr, ale przed nami wzdłuż Towarowej powinny być nasze czujki. Nikt by nie odważył się palić, gdyby Niemcy byli blisko. Czasem z bramy wysuwa się cywil i włącza do rozmowy. Aby uniknąć pomyłek, ludność ma nie wychodzić nocą z domów, jako że po ciemku wszystkie koty szare. Zmęczenie bierze górę, rozmowy stają się powolne, ustają, głowa kiwa się pod ciężarem hełmu. Wśród ciszy z rzadka słychać kroki i słowa: hasło? „Poznań”, odzew? „Warta”. I znów cisza, która niemal w uszach dzwoni. Przypomina mi się harcerska piosenka:

Jak dobrze nam głęboką nocą, wędrować jasną wstęgą szos,
patrzeć, jak gwiazdy niebo złocą, i myśleć, co przyniesie los...

Zamiast w gwiazdy wpatruję się w czerń ulicy i nadśluchuję stapań. Wszedłem na chwilę do domu. Wracając zastałem poruszenie na barykadzie. „Gołębiarz” strzelił do powstańca, który spał na noszach, kula trafiła w mur może dwadzieścia centymetrów powyżej jego głowy. Odpryski cegły i tynku spadły mu na twarz. Rzeczywiście, jest dziura w murze, macam i ja, zapominając, że „gołębiarz” może strzelić jeszcze raz. Rozglądamy się po okolicznych domach i zastanawiamy, skąd ta kula przyleciała. W rachubę wchodzi trzy kamienice. Dookoła w ciemnościach widać zarysy ze stu okien. Każdy rozumie, że szansa znalezienia „gołębiarza” jest żadna, ale coś trzeba zrobić, skoro strzelił.

Grupami, po paru, ruszamy na łowy. Jestem razem z Kawką. W trójkę wspinamy się klatką schodową na strych, palce na cynglach.

Oczywiście nikogo nie ma i ciemno, choć oko wykol. Nie wiem dlaczego, ale wówczas powszechnie uważano, że „gołębiarze” strzelali ze strychów. Nikomu nie przyszłoby do głowy szukać ich na przykład na parterze. Skoro nie ma go na strychu, to może ukrył się wśród ludności cywilnej. Schodzimy więc do piwnicy, gdzie nocują mieszkańcy. Wołamy dozorcę domu, pytamy, czy czasem kto nie przyszedł z góry w ciągu ostatniej pół godziny. Nie przyszedł.

- Czy są tu folksdojcze, Niemcy, Ukraińcy?

- Nie ma - powiada.

Wśród cywilów poruszenie, wszystkie oczy skierowane na nas. Pierwszy raz w życiu jestem jak na scenie. Najpierw czuję się trochę nieswojo, ale pewności dodaje mi szacunek i odrobina bojaźliwości w zachowaniu cywilów oraz przekonanie, że mi do twarzy w hełmie i z karabinem. Nasza misja dobiega końca. Wtem przychodzi mi do głowy, by spytać dozorcę, czy wśród ludności są obcy, którzy nie mieszkają w tym domu. Są i to nawet liczni. Każemy im stanąć z boku, osobno. Kawka ze stopnia piwnicznych schodów, z kolbą karabinu pod pachą i lufą skierowaną w stronę ludzi, przemawia do nich językiem Wiecha. Przy świetle lamp naftowych i świec jego wargi wyglądają jeszcze grubsze, nos bardziej kulfoniasty, a uszy więcej odstające. Zaczął wolno, ale w miarę gadania, rozkręca się i prawi, że my, powstańcy, walczymy, przelewamy krew, a oni tu ukrywają „gołębiarzy”. Wstydzę się za niego i staram się zatrzeć złe wrażenie.

Sprawdzam dokumenty napływowych. Kobieta około pięćdziesiątki, chłopak dwadzieścia dwa lata, blondyn, dobrze odżywiony - podają mi legitymacje z zakładu pracy. Oba nazwiska Miller. Matka i syn. Proszę, aby pokazali mi kenkartę, nie mają, zapomnieli wziąć wychodząc z domu.

- Gdzie mieszkacie?

- Na Powiślu - odpowiadają.

To znaczy kilka kilometrów stąd. Mówią po polsku, jakby się tu urodzili. Myślę: Polak bałby się wyjść na ulicę bez kenkarty. W najlepszym razie Niemcy skuliby mu mordę i skopali. Pewnie folksdojcze, wyrzucili swoje kenkarty.

- Pokażcie kartki żywnościowe - powiadam. Nie mają, zostawili w domu. Lufę już na nich wycelowałem i powiadam - jesteście folksdojczami, a oni ani me ani be, jak sparaliżowani.

Tak wyłowiliśmy sześć osób. Wyprowadzamy ich na ulicę, już świta. Wiem, że żaden z nich do nas nie strzelał, ale nikt z nas tego

nie mówi. Ustawiamy ich na pustym placyku pod szczytową ścianą bez okien, twarzą do muru. Zastanawiam się przez chwilę, co by tu efektownego powiedzieć do mojego blondyna.

- Przez pięć lat jadłeś polskie masło, teraz będziesz gryzł polską ziemię.

A on nic. Szczękam zamkiem karabinu dla pucu, by go więcej postraszyć. Nabój i tak mam w lufie karabinu na wypadek, gdyby uciekał. Nikomu śmiercią dotąd nie groziłem i odczuwam dumę, że takie ładne zdanie na oczekaniu wymyśliłem.

Ogarnia mnie ciekawość i podniecenie, jak to jest zabić człowieka. Wpakować mu kulę w plecy, czy też z tyłu w głowę. Myślę, że to nie wypada. Nigdy jeszcze z karabinu nie strzelałem i boję się, że jeśli źle przyłożę do ramienia, jeszcze mnie kopnie i wybiję zęby. Gdzieś na peryferii świadomości pojawia się lęk, że jeśli go zastrzelę, to stanie się coś takiego, czego nigdy w życiu nie odrobię. Wołam do tych pod murem:

- Ręce wyżej - podnoszą ręce wyżej.

- Stać na palcach - unoszą się na palcach.

Zdumiewa mnie i podnieca, że robią, cokolwiek im każe, choć starsi ode mnie. Tymczasem Kawka rozochocił się na dobre, chce rozwalić wszystkich na miejscu jako dywersantów i bierze się do strzelania. Ja mu nie pozwalam, inni mnie popierają i po parominutowym sporze Kawka ustępuje. Dyskusja toczy się za plecami tych, co stoją twarzą do ściany. Na rozkaz, złapani niezgrabnie robią w lewo zwrot. Oni przodem z podniesionymi rękami, my z tyłu, idziemy pustą ulicą do Haberbusza. Podkute buty zgrzytają o kocie łby aż echo niesie. Nasi żandarmi (niektórzy poprzyczepiali już sobie żółte naszywki wzorem przedwojennych kanarków) przyjęli aresztowanych z otwartymi ramionami i zaraz zamknęli w garażu. Cierpieli na bezrobocie, gdyż liczba ich rosła z dnia na dzień, szybciej niż przybywało więźniów i jeńców. Oni jedni nie wyrywali się na ochotnika do akcji.

Z browaru Haberbusza przynieśli śniadanie, kawa nie słodzona, a przecież wczoraj dwie zdobyczne platformy z worami cukru przyjechały spod Nord-wache. Głośno zastanawiamy się, czy chowają cukier na handel - na czarny rynek - czy to polski bałagan. Gadamy jak zwykle o Niemcach, o froncie, tym pobliskim zwłaszcza, o tyłowych formacjach, intendenturze, żandarmerii, o oficerach, tych, co się przedtem nie pchali do walki, a teraz podnoszą głowy.

Przy barykadzie słońce przypieka i trzeba zdjąć hełmy. Niemców

ani widu, ani slychu. Ulica obwieszona biało-czerwonymi flagami. Tłum głównie stoi w miejscu. Czasem nie uzbrojony oddziałek przemaszeruje i zniknie za zakrętem ulicy. Cywile jeszcze się nie oswoili z widokiem Polaków z bronią w ręku i mam posmak tego, jak to jest być filmowym gwiazdorem. Dostajemy mnóstwo papierosów od ludności, chcąc nie chcąc palę i ja, bez zaciągania. Początkowo z trudnościami, bo trochę dymu dostaje się do tchawicy i dławi mnie, ale po paru godzinach nabieram wprawy. Wciągam dym do jamy ustnej, magazynuję między policzkami, a potem wydmuchuję nozdrzami.

Parę razy rozlega się okrzyk: „Lotnik - kryj się!”. Ulica pustoszeje w okamgnieniu, w ciszy slychać tylko łopotanie chorągwi na wietrze i czasem odległy warkot. Potem odważniejsi wysuwają się z bram, a w parę minut później ulicę znowu wypełnia tłum i gwar, jak to mówią, bije pod niebiosa. Nikomu dotąd nie przychodzi do głowy, że biało-czerwone flagi ułatwiają niemieckim lotnikom rozpoznanie sytuacji w mieście.

Zaczynam rozróżniać twarze. Dziobaty, barczysty, po czterdziestce mężczyzna, który rozkazuje, ale nie przyczepia się - to dowódca kompanii, starszy sierżant Wierny. Szczupły, niewysoki, drobny, na pozór spokojny, lekko kędzierzawy blondyn w okularach, coś z urzędnika - to dowódca plutonu, podchorąży Kobuz. Robi uszczypliwe uwagi, gdy w jego opinii dyscyplina słabnie. Służbista, krzywił się, gdy zostałem, jego zdaniem, „zaadoptowany do plutonu prosto z ulicy”, ale ustąpił pod naciskiem większości.

Czyszczę, składam i rozkręcam broń, uczę się obchodzić z różnymi typami granatów, pistoletów, gdy obok rozlega się strzał. To Krypo, zmieniając magazynek w swym szturmowym parabellum, wybił dziurę w podłodze. Krypo jest o kilka lat starszy ode mnie, blady, chudy brunet, dziwnie wymawia dźwięk „r”, zamiast wibracji języka coś mu w gardle chrypi i bulgocze jak Niemcowi. Miał jakieś powiązania z niemiecką policją kryminalną i stąd przezwisko, naprawdę jego pseudonim brzmi: podchorąży Szpulka. Na objaniu się i odsypianiu schodzi nam całe przedpołudnie.

Z napływających wiadomości wynika, że na zachód od ulicy Towarowej jest szeroki pas ziemi niczyjej, a dalej rozproszone grupki Niemców. Po zdobyciu przez powstańców zakładów Phillipsa lotnicy schronili się w wojskowym szpitalu i okolicznych domach.

Z beczynności rodzi się plan wypadu. Zwracamy się do Kobuza, który z kolei idzie do Wiernego i dostajemy pozwolenie. Do grupy

uderzeniowej poza mną wchodzą Edek, Krypo, Stasiek Barykada, Pietrek, Cygan, Stryjo, Maniś i paru innych, których jeszcze nie rozróżniam.

Powstańcza armia składała się z grup uderzeniowych czyli wypadowych, zwykle zwanych szturmowymi, i z nie uzbrojonej reszty. Regularnego wojska nie było.

Krypo pożyczył sobie od kogoś angielskiego stena i dał mi na czas wyprawy swe szturmowe parabellum o długiej lufie. Rękojeść pasuje do dłoni jak ulał. Barykada, masywny, wysoki, korpulentny blondyn z fajką i piegami, dwa lata tylko starszy, a już żonaty, ma własny czy, jak to teraz mówią, własnościowy karabin. Pietrek i Cygan także posiadają karabiny, a reszta pistolety. Stryjowi, dwa razy starszemu od najstarszego z nas, Wierny polecił uważać na zapaleńców. Maniś wygląda na jedenaście lat i zdaje się, że przykleił się do plutonu w czasie oblężenia Nordwache. Ma krótko obcięte płowe włosy, jaśniejsze od opalanej twarzy, jak chłopskie dzieci pod koniec lata. Innego znowu, szczupłego blondyna w moim wieku, który podobno pisze i był drukowany w prasie podziemnej, wołają Bajkopem. Poprzeczne bruzdy przecinają mu czoło, ilekroć się zastanawia.

Dochodzimy do Towarowej - pustka, widać, że tu walczone. Ustawiamy się w jednej linii, szykując do skoku przez ulicę. Nie wolno pojedynczo: pierwszego zauważą, w drugiego wycelują, w trzeciego strzelą. Jeśli nawet trzem uda się przebiec na drugą stronę, będąc odcięci od reszty, sami nie dadzą sobie rady i trzeba ich odliczyć na straty. W tym momencie Edek wtrąca się, przerywając przygotowania. Radzi, by się wyszczać przed atakiem. Jeśli kula trafi w pełny pęcherz, powiada, mocz eksploduje pod ciśnieniem. Taką ma siłę przekonywania, że zwijamy linię i za jego przykładem odlewamy się w bramie.

Poza nami zostają ostatnie polskie posterunki. Dla praktyki, bezpieczeństwa i rozrywki każdą otwartą przestrzeń przebiegamy jednym szeregiem. Uczymy się sztuki wojennej na gorąco, nie wiedząc jak mało czasu na naukę zostało. Stryjo, który brał udział w paru wojnach, lubi pouczać i ma dość chętnych słuchaczy. Niestety, ci, co już wachali proch, wachali go wśród pól i lasów, leżąc na śniegu, czołgając się po rżysku, depcząc maki, mleczce i pokrzywy. Tu całe ich doświadczenie bierze w łeb w gmatwaniu murów, strychów, piwnic i korytarzy. Zwłaszcza gdy każdą wystrzeloną kulę trzeba uzupełnić nową, zdobytą na wrogu.

Domy rzędną, spłaszczają się i dochodzimy do rozległego, zapuszczonego ni to placu, ni to poletka porośniętego kępami chwastów. Po drugiej stronie stoją kilkupiętrowe bloki mieszkalne. To tam podobno kryją się lotnicy. Ani znaku życia.

Rozglądamy się niezdecydowani. Czuję, że harcerstwo się kończy, a wojsko zaczyna. Krypto przyczał się tuż za rogiem ze staniem, Barykada zrywa się, biegnie kilkanaście kroków i pada za latarnią, celując ku domniemanym lotnikom. Betonowa podstawa latarni jest zbyt wąska, by zasłonić zwykłego człowieka, a co dopiero Barykadę. Dzięki Bogu jestem nowicjuszem i nikt ode mnie nie oczekuje dawania dobrego przykładu. Denerwuję się, że jeszcze w niego strzelą. Nic się jednak nie dzieje. A może Niemcy czekają, aż reszta nabierze odwagi i wybiegnie na otwartą przestrzeń. Nikomu się nie pali biec na przelaj przez plac na wariata. Jesteśmy dziećmi miasta - im ciasniej, tym bezpieczniej. Atak nie klei się. Barykada podrywa się i wraca.

Maniuś w tym czasie rozejrzał się po okolicy, którą musiał znać, i nuż nas namawiać do wypadu na pobliski wojskowy szpital. Odłączamy się: ja, Maniuś, Edek, Barykada, i skokami biegniemy ku szpitalowi. Coraz to za murem trzeba się zatrzymać, rozejrzeć i zdecydować, gdzie następny przystanek.

W teorii gra polega na dokładnym wyliczeniu czasu potrzebnego na przebiegnięcie od osłony do osłony, tak aby przeciwnikowi zabrakło tego ostatniego ułamka sekundy na pociągnięcie cyngla. Podstawową zasadą obowiązującą w walkach w mieście jest: zanim wejdiesz, pomyśl jak wyjść. Ile jest ona warta, wiedzą wszyscy, którzy żyją, choć mieli trudności z wyjściem.

Wielki budynek szpitalny otacza solidna druciana siatka z otwartą furtką, obok niej stoi pusta budka wartownika. Wpadamy do szpitala bez strzału. Zostawiam Edka i Barykadę w izbie przyjęć i razem z Maniusiem wysuwamy się na korytarz. Olejno-białe ściany, podłoga w szachownicę, mosiężne klamki, dziesiątki drzwi z czarnymi numerami. Jedne zamknięte, inne niedomknięte, przymknięte, odemknięte, na oścież otwarte, a za każdymi może czaić się Niemiec. Zaglądamy pod łóżka, do szaf, zrywamy materace, wyciągamy szuflady z nocnych stolików, byle prędzej. W miarę, jak się oddalamy w głąb szpitala, słuch wyostrza się. Ucho chwyta szmery, skrzypienia, stapania, pomnożone i zamazane przez niezliczoną ilość schodów, sal i korytarzy. Coraz to wyglądamy na korytarz, czy aby kto nie podkrada się. Wokół wymarłego szpitala

rosną krzewy, drzewa i mało co widać poprzez zielony gąszcz liści.

Jestem wolny jak nigdy w życiu, nikt mi nie rozkaże, nikt nie poradzi, nikt nie pomoże.

Człowiek całe życie gnieździł się w ciasnym mieszkaniu na kupie z rodziną, w przeludnionym mieście, zatłoczonych tramwajach, w przepelnionych szkołach, ciągle wśród jazgotu ludzkich głosów, kół o żelaznych obręczach, końskich podków, klaksonów, motorów, dzwonek... a tu puste ulice, puste domy, martwy szpital, cisza, całe życie stąd wyciekło. Tylko ja jestem życiem, ja, moje parabellum i mój granat.

Znajduję trochę amunicji do „dziewiątki”, nowiutkie skórzane wojskowe buty w kolorze jasnobezowym, matowe, pokryte delikatnym meszkiem, nie tknięte pastą i mundur niemieckiego lotnika, pasuje jak ulał. Zmieniam swoje buty na niemieckie i wciskam błękitny mundur na drelich, a Maniś tymczasem obstawia mnie wytykając głowę na korytarz. Pędzimy z powrotem po szachownicy podłogi. Dudnią podbite gwoździami i podkute buty... Za zakrętem wpadamy na Edka i Barykadę, którzy podkradali się ku nam. Dobrze, że z braku amunicji palce nie świerzbiły ich do strzelania, bo zapomniałem przełożyć biało-czerwoną opaskę z drelichu na mój nowy błękitny mundur Luftwaffe [\[Lotnictwo wojskowe\]](#). Gdzieś widzieli Niemców i szukali mnie. Wypadamy z izby przyjęć na podwórze.

Na okrzyk Edka: Niemiec! - hamujemy w półobrocie. Edek pierwszy strzela w zielone listowie z olbrzymiego nagana, ja z parabellum, a Barykada z karabinu i pędzimy dalej przez furtkę obok budki strażnika ku swoim.

Nagle przed nami postacie w ochronnych, cętkowanych mundurach, leżą linią w trawie za ogrodzeniem szpitala. Nogi same zwalniają.

- Niemcy! Karabin maszynowy celuje ku nam. Znowu słyszę okrzyk Edka:

- Kotlet!

Dopiero teraz dostrzegam biało-czerwone opaski.

Kotlet, zwany też Witoldem, to kolega Edka. Właśnie na czele swej drużyny szykował się do natarcia na szpital, gdy zobaczył nas trzech strzelających w puste krzaki. Ogólne odprężenie, uściskalibyśmy się, gdyby wypadało, zwłaszcza my ich. Oni także zadowoleni, bo właśnie głowili się, jak szturmować gęsiego przez furtkę w ogrodzeniu obok budki wartownika, czy też hurmem

przełazić przez żelazne sztachety - gdy nagle osłupieli na widok dwóch powstańców uciekających w towarzystwie niemieckiego lotnika z budynku, który mieli zdobywać. Edek nabija się z ich bojowej postawy na pozycji szturmowej, a Kotlet z naszego odwrotu, a zwłaszcza z Edka strzelającego z nagana w krzak bzu, zamaszyście jak Bufallo Bill.

Dołączyliśmy do reszty oddziału. Martwili się, że już po nas. Krypto zaczął swym niemieckim akcentem mamrotać uszczypliwe uwagi i pogróżki na temat opuszczenia oddziału bez rozkazu, ale słowa zamarły mu na ustach, gdyż wszyscy w głos podziwiali mój mundur. Wyglądałem na prawdziwego żołnierza, takiego, jakich nie było u Haberbusza. Wszystko na mnie niemieckie, od butów do hełmu, jak ulał. Na kołnierzu błękitnego munduru pomarańczowa naszywka, a na niej trzy srebrne ptaki w locie - pewnie plutonowego obrony przeciwlotniczej, bo lotnicy mieli żółte. Pasa tylko mi brakowało, takiego z napisem *Gott mit uns*. Już widziałem siebie otoczonego tłumem zachwyconych cywilów i ukrywających podziw byłych towarzyszy niedoli z epoki pętania się po podwórzu browaru.

Teraz już nie przebiegamy szeregiem przez otwarte przestrzenie, ale beztróskim spacerkiem wracamy rozciągniętą linią do bazy. Nad głowami dość wysoko lecą samoloty. Przystajemy pod murem, bo lotnik podobno widzi bardzo wyraźnie to, co się porusza. Samoloty zniżają się nad Śródmieściem i bombardują. Teraz dopiero dostrzegamy wcześniej zrzuczone białe ulotki na tle błękitnego nieba. Płającym ruchem opadają, wiatr je znosi. Rozpierzchają się bardziej, im bliżej ziemi. Jedna spada nie opodal. Zredagowana jest tak, aby sprawiać wrażenie ulotki sowieckiej - oskarża AK o różne przestępstwa, z faszyzmem włącznie. Wkrótce znajdujemy jeszcze jedną, ale ta jest jakby przepustką, glejtem na bezpieczne wyjście z Warszawy. W obu językach - po polsku i niemiecku - dla nieograniczonej ilości osób. Edek krytykuje Niemców: gdyby przepustka była ważna dla, na przykład 50 osób, miałyby wartość propagandową, ale dla nieograniczonej ilości osób to jest jak banknot, za który wszystko można kupić. Rozdrażniło go, że niemiecka propaganda taka nieudolna i swoją głupotą obraża adresatów.

Przed Towarową polski posterunek w ostrej postawie bojowej, jakby oczekiwał natarcia kompanii SS Totenkopf [[Totenkopf - nazwa formacji SS z trupa główką na czapce](#)]. Między nimi Lis, opalony na brązowo, ciemne włosy, krzywy nos. Poznał mnie.

- Ej! wy w okularach - zdążył krzyknąć.

Przebiegłem Towarową nie odpowiadając. Zatrzymał tych, co szli z tyłu, i chwilę rozmawiał, głównie z Krypo, który był najstarszy rangą. Reszta przeskoczyła Towarową i dołączyła. Cygan i Pietrek podchodzą do mnie:

- Oddaj parabellum.

- Dlaczego?

- Oddaj.

- Dlaczego?

- Wypad skończony.

- Oddam, jak wrócimy na kwaterę.

- Nie wracasz na kwaterę, odprowadźmy cię do Habermusa.

- O co chodzi? - mówię - choć wiem, o co chodzi. To ta kurwa, Lis, musiał na mnie naszczekać. Krypo stara się sprawę załagodzić.

- Lis mówił, że należysz do jego kompanii.

- Nie należę i w konspiracji nie należałem. Ukradli mi thompsona, którego sam zdobyłem, Lis opierdolił mnie i wyrzucił.

Reszta grupy wypadowej też się zatrzymała, ale nikt nie staje po mojej stronie.

- Obgadaj z Lisem i wracaj - doradzają. - Należysz do nas, zawsze cię przyjmujemy.

Zwracam parabellum. Myślę: znów mnie obrabują w browarze. Więc oddaję kolegom hełm i amunicję do „dziewiątki”, którą znalazłem w szpitalu.

Przechowajcie to, mówię, będę z powrotem za parę godzin. Pietrek i Cygan odprowadzili mnie do tej samej sali w browarze Habermusa, gdzie wczoraj ostatni raz widziałem thompsona.

Siedzę i gryzę się. Mogę zwyczajnie prysnąć i tak zakończyć karierę powstańca, ale to byłoby najgorsze. Będą mnie potrzebowali, Niemcy jeszcze silni, pocieszam się bez przekonania. Chciałem zdobyć uznanie, sławę, krzyż może, a tu czwarty dzień Powstania, Warszawa prawie uwolniona od Niemców, a mnie już dwa razy odebrano broń jak frajerowi. Dowódca kompanii opierdolił mnie osobiście po raz drugi. Raz aresztowany i raz strzeliłem w puste krzaki. Ale dorobek!

Lis pojawił się. Początek dialogu z nim był mniej więcej taki, jaki koniec wczoraj rano. Dał mi krótki opeer, że to jest wojsko, a nie banda i kazał odmaszerować do mojego plutonu. Postanowiłem się nie ruszać, żeby nie wiem co.

- Panie poruczniku, a co z moim karabinem maszynowym,

thompsonem, który wczoraj zdobyłem? Porucznik Konar powiedział, że w zamian dostanę inną broń.

- Porucznik Konar nie ma z wami nic wspólnego.

- Jak to? - mówię - porucznik Konar tu, w tym pokoju, obiecał mi.

- Porucznik Konar do tego pokoju nie przychodzi, porucznik Konar nic wspólnego z moją kompanią nie ma.

Oczywiście Konar jest podwładnym Lisa. To ten piegowaty, w granatowej cyklistówce. Właściwie jest podporucznikiem, ale przez grzeczność nazywa się go porucznikiem. Nic nie rozumiem i widzę, że rozumiem nic nie zwojuję. Więc znowu żądam zwrotu mojego thompsona. Wtedy pyta Lis:

- Z karabinu maszynowego strzelaliście?

- Nie.

- No to czego chcecie?

Nie pamiętam, ile to czasu trwało razem z czekaniem, ale w końcu Lis przydzielił mnie do oddziału frontowego pod dowództwem podporucznika Tadzika i oświadczył, że dostanę broń. Tadzika już trochę znałem ze zbiórek na podwórzu browaru. Kilka lat starszy, grzeczny, miły, nie wydziwiał, nie czepiał się. Wyskoczyłem na róg Grzybowskiej i Wroniej po hełm. Kwatera była pusta, Wiernego przeczucili nie wiadomo dokąd. Wróciłem do browaru Haberbusza, uporządkowałem swoją garderobę. Na Powstanie wyszedłem w drelichu narzuconym na ubranie. Teraz na wierzchu miałem trzecią warstwę, mundur lotnika. Wyrzuciłem drelich.

Okazało się, że Lis miał rację. Piegowaty w granatowej cyklistówce z wielką mordą to podporucznik Kenar - jego podwładny. Zaś porucznik Konar, też z wielką mordą, to dowódca innej kompanii batalionu „Chrobry”. Nigdy nie słyszałem takiego głupiego pseudonimu jak Kenar. Skąd on to wziął?

Zosia z bliźną na szyi i Sylwia przyniosły mi kolację, a że była już noc, dały koc i coś pod głowę. Uwaliłem się na materacu w piwnicy Haberbusza i zapadłem w najtwardszy sen Powstania.

Ocknąłem się o brzasku wypoczęty. Przy śniadaniu przyszła wieść, że nocą RAF zrzucił zasobniki z bronią. Rakiety przeciwpancerne piąt, coś w rodzaju pancerfausta czy pancerszreka. Dostałem karabin, ale nie na własność. Po ośmiogodzinnej służbie miałem oddać go następnej zmianie. Sam podporucznik Tadzik rozprawdzał nas na stanowiska wzdłuż zachodniej, to znaczy bliższej Niemców, strony ulicy Towarowej. Mnie ustawił u wylotu Krochmalnej, plecami do wschodzącego słońca. Mam uważać wprost

przed siebie, czy kto się nie skrada przez na wpół zabudowany teren. Po lewej stronie, na następnym skrzyżowaniu z Grzybowską, powinien być nasz posterunek. Na prawo, kilkadziesiąt metrów dalej, ulicę Wolską przegradza barykada, która kończy się przy Fundacji Staszica, zakładzie pracy mojego ojca.

Tu, gdzie stoję, Towarowa rozszerza się na kształt ujścia rzeki, wpada na bezludny Kercelak i łączy się z Wolską, Okopową i Chłodną. Na skrzyżowaniu węzowisko szyn. Ledwo Tadzik odszedł, zacząłem się zastanawiać. Coś tu nie pasowało. Dlaczego mamy stać po zachodniej stronie ulicy, skoro Niemcy też są od zachodu? I dlaczego na ulicy? Niechby doszli w jakimś punkcie do Towarowej, zostaną odcięty i nie będę mógł ostrzec kompanii. Nawet łącznika nie przydzielili. Gdzie by tu zająć takie stanowisko, aby samemu będąc niewidocznym, mieć na oku przedpole. Najlepiej byłoby w narożnym domu. A tak to albo stoję pod wysoką kamienicą i mało co widzę, albo na skrzyżowaniu w słońcu i zewsząd mnie widać. Zdrowy rozsądek nakazuje mi przejść na wschodnią stronę Towarowej i usadowić się przy oknie na parterze lub w bramie, ale niechby to który z oficerów zauważył. Nie wytłumaczysz się. Samowola, tchórzostwo, dezercja, odbiorą karabin, wyrzucą do cywila. Zresztą nie było powodu głowić się nad tymi szczegółikami. Zwyczajnie, wrodzona skłonność do filozofowania, po nikim nie odziedziczona, brała górę z powodu samotności.

Zaczął się najcichszy dzień od początku Powstania. Ranek wstał nie upalny, niebo błękitne, przewiewnie u zbiegu głównych arterii miasta. Zefirek orzeźwił i rozwiewając włosy przypominał o straconym hełmie, ale karabin w moim ręku przywrócił mi wiarę, że sprawiedliwość jednak w końcu zwycięża na tym świecie.

Nie opodal stał postrzelany tramwaj. Dzieci miałyby frajdę bawiąc się w konduktora, motorniczego i pasażerów. Sam chętnie wszedłbym do środka i pokręcił korbą, ale z moją reputacją nie mogłem sobie na to pozwolić. Powstaniec na stanowisku bojowym w tramwaju! Od dziecka wyobrażałem sobie taką scenę: motorniczy nagle zasłabł, tramwaj stoi na bezdrożu, ludziom się śpieszy, a ja na siodełko i prowadzę, dokąd należy. Latami pilnie obserwowałem każdy ruch motorniczego, aby być gotowym, gdy moja godzina wybije. Ileż to razy już prawie otwierałem usta, aby spytać motorniczego, czy mogę zadzwonić nożnym dzwonkiem lub podsuwałem stopę do dzwonka, by go wyręczyć bez pytania. Lata mijały, urosłem, i już nie wypadało, ale nie spełnione marzenie

pozostało, by raz poprowadzić tramwaj przez Warszawę, od końca do końca.

W oknach Fundacji Staszica siedzą ludzie, wyglądają, opalają się chyba. Nastrój jak w tym wierszyku:

Słoneczko świeci, ciepły wiaterek,
piesek z Celinką szedł na spacerek...

W lewo, ku południowi, Towarowa ciągnie się kilometr lub dwa, zakręca nieco i nie widać, co się dzieje na drugim końcu, o ile w ogóle gdziekolwiek cokolwiek godnego uwagi się dzieje. Ostre cienie obdrapanych kamienic, latarni, kominów fabrycznych po wschodniej stronie kładą się na jezdnię. Coraz to mój wzrok zwraca się ku Fundacji Staszica.

Wątpię, aby ojciec tam był jeszcze piątego dnia Powstania, ale i tak sporo pracowników mnie zna, więc mu powtórzą. Wpaść na chwilę i pokazać się w bojowym rynsztunku, pół minuty tam, pół z powrotem i dwie w środku. Sumienie żołnierza w końcu odnosi zwycięstwo nad próżnością, ale nie od razu. Wewnętrzne zmaganie zapewne trwałoby dłużej, gdybym miał hełm.

Było jeszcze wczesne rano, gdy od zachodu doszło odległe dudnienie i niewyraźny pomruk, który odtąd nie ustawał. Cienie domów kurczyły się i ulica znalazła się w pełnym blasku słońca. Szyny jarzyły się jak ostrze noża, skrzyły się okruchy szkła, powietrze drgało nad rozpalonym brukiem. Z rzadka cywil przemykał wzdłuż ściany. Kręciłem się w kółko, rozglądałem, przysłuchiwałem i tak mi schodził czas.

Minęło już południe, gdy pojawili się uciekinierzy, pojedynczo, po kilku, bez tobołków. Szli z kierunku, skąd od wielu godzin dochodziły odgłosy bitwy. Małomówni, nie przystając pomykali na wschód, w głąb miasta. Jedno tylko powtarzali - Niemcy wszystkich zabijają. Sprawiali niesamowite wrażenie, zwłaszcza oczy; takie oczadziałe twarze widzi się czasem u ludzi ocalonych z pożaru.

Wewnątrz Fundacji Staszica cienie miały się na wszystkie strony, już nikt nie wyglądał przez okna, jak przedtem. Właśnie znowu zacząłem rozważać, czy nie skoczyć tam, teraz już służbowo, by zasięgnąć języka, gdy nagłym szarpnięciem gęsty kurz poderwał się przysłaniając część barykady. Jak kłęb szarej waty zawisł na moment nieruchomo w powietrzu i z wolna spłynął z wiatrem. Kawałki kamieni spadły na skrzyżowanie i toczyły się podskakując po bruku.

Przeczytałem wiele opisów bitew i przez lata wojny wypytywałem

się byłych żołnierzy, jak wygląda z bliska eksplozja pocisku. Czy bębunki pękają, czy podmuch zwala z nóg i poraża oddech? Teraz zobaczyłem to sam.

Najpierw chciałem strzelać i już się zmierzałem; w tej samej chwili pomyślałem, że nie ma sensu pakować karabinowej kuli z boku w barykadę, kiedy z przodu wali w nią armata. Więc popędziłem ku barykadzie, ale oprzytomniałem po kilkunastu krokach, i w porę, bo Niemcy dołożyli jeszcze dwa razy. Co będzie, jeśli piechota wejdzie na barykadę? Strzelić i biec po posiłki, czy od razu biec po nie.

Nagle z tyłu jakiś powstaniec zaczął wrzeszczeć na mnie jak opętany, że wyglądam na Niemca, że już mi w plecy wycelował, zanim zobaczył biało-czerwoną opaskę, i że tylko jego przytomność umysłu ocaliła mi życie. Był trochę roztrzęsiony i też nie wiedział, co robić, poza tym że chciał strzelać. Wkrótce ktoś przyszedł, może był to sam podporucznik Tadzik, i zwinął nasze czujki. Tak się zakończyła obrona zachodniej strony Towarowej. Na następną godzinę czy dwie ulica stała się ziemią niczyją.

Tadzik miał już nowe zadanie dla nas. W sześciu pod jego dowództwem obsadziliśmy mieszkanie na pierwszym piętrze po południowej stronie Chłodnej, w drugim domu od skrzyżowania z Towarową, blisko mojego poprzedniego posterunku. Poza węzowiskiem szyn, u zbiegu głównych arterii miasta, w odległości co najmniej pięćdziesięciu metrów, zamykała Wolską barykada przy Fundacji Staszica. W dali szeroka i pusta ulica Wolska lekko zawijała się w lewo. O kilometr na zachód paliło się, widać było nie tyle ognie, ile ścianę dymu.

Dla honorowych gości gospodarze mieszkania ugotowali świetną zupę. Na ścianie wisiało ich ślubne zdjęcie może sprzed piętnastu lat, nie było fotografii dzieci. Uderzyło mnie, że się od tego czasu zmienili, jakby odrobina życia z nich wyciekła. Byli tak wyjątkowo mili i usłużni, tak z uwielbieniem spoglądali na nas, zwłaszcza na mnie w pełnym rynsztunku, że czułem się, jakbym był kwiatem polskiej młodzieży, a nie ziółkiem, jak dotąd. Co zerknęli na mój mundur, przypominał mi się hełm. Brakowało mi także niemieckiego pasa, zamiast tego ojcowskiego do ostrzenia brzytwy, na którym zawiesiłem ładownice. Gospodarze przed zejściem do piwnicy prosili, abyśmy dali im znać w razie odwrotu. My na to, że nie ma mowy o odwrocie.

Zostaliśmy sami, jeden karabin, reszta rewolwery. Przeszedłem się po mieszkaniu. Pluszowe fotele, nad kanapą obraz - jezioro z

łabędziem, wytarty dywan na podłodze. Stojący zegar z mosiężnym wahadłem tykał równo, jak to zwykł robić od wielu lat.

Wychuchane, wydmuchane jak cacko mieszkanko wyglądało na cały dorobek ich życia. Teraz siedzieli w piwnicy, a my byliśmy ich jedyną nadzieją. Dwóch usadowiło się w małym pokoju na przodzie, to znaczy bliżej Niemców, a pozostałych czterech z Tadzikiem w saloniku, z tyłu. Właściwie to geograficzne terminy: wschodni, północny, południowy i zachodni nie miały żadnego znaczenia. Jedyne, co się liczyło i co orientowało człowieka w położeniu, to odległość od Niemców.

Znowu wyglądam z okna w lewo, ściana dymu zbliżyła się w czasie, gdy jadłem obiad. Na prawo, na Chłodnej, ludzie grupkami stoją przy bramach na chodniku i gapią się tam, gdzie dym przesłania niebo, jakby to był cyrk, a nie wojna. Wzdłuż pustej ulicy Wolskiej pożar ogarnia kamienicę po kamienicy. Nie widać, by kto ogień podkładał, domy jakby się same zapalały od promieni słońca. Już kamienica dwieście metrów od nas zaczyna się kopać. Podporucznik Tadzik zabronił wychylać głowy, aby nie zdradzić stanowiska, więc obserwujemy ulicę, wysuwając ostrożnie lusterko poza ramę okienną. W oddali czołg strzela długimi seriami z karabinu maszynowego. Po jakimś czasie wydedukowaliśmy z odpryskującego tynku, że nas odkryto. Coraz to kule zgrzytają o mur, jak widelec po talerzu, i za każdym razem dostaję gęziej skóry. Pocisk wybucha na jezdni po prawej stronie i dopiero teraz cywile znikają z ulicy. Tadzik wyjaśnia, że to granatnik. Na asfalcie pozostaje lekko wklęsnięte, okopcone miejsce z paru promieniście rozchodzącymi się drapnięciami, jak odcisk diabelskiego kopyta.

Kurzawa buchnęła przez okno, ale nas prędko wymacali z czołgu! Za chwilę wyjaśnia się, dlaczego. Ci dwaj z pierwszego pokoju wpadli szarzy od pyłu, niedowidząc, niezdolni nawet mrugać oczami. Pocisk eksplodował obok ich okna. Okazało się, że gwoli podrażnienia szkopów wysuwali na zewnątrz kapelusz na wieszaku i zabawiali się liczeniem dziur. Fortelu z kapeluszem nauczyli się pewnie, tak jak i ja, z książek Przyborowskiego o insurekcji kościuszkowskiej. Dzięki temu podstępowi wróg marnował amunicję. Podporucznik Tadzik dał im łagodne opeer za zdradzenie Niemcom naszej pozycji, ale nie zdecydował się na zmianę stanowiska.

Właściwie jesteśmy w pewnym sensie bezpieczni, no bo jak nas mogą osiągnąć ukrytych wewnątrz mieszkania. Nie przychodzi mi do głowy, że pocisk może wybuchnąć na framudze okna i odłamki

prysną na pokój. Zastanawiam się, jak strzelać, nie wychylając się z okna, gdyby przemykali pod murem po tej stronie ulicy; jak im przeszkodzić w obejściu naszej pozycji. Im dłużej myślę, tym bardziej staje się oczywiste, że w najlepszym razie obronimy klatkę schodową, gdzie znajduje się nasze mieszkanie. Wleżą przez okna na parter od tyłu, a jak nie od tyłu, to z boku albo z przodu. Przycichło na kilkanaście minut. Przez trzęsące się lustro zerkam ku Niemcom. Widzę w nim dachy, ściany, drzewa, jezdnię, niebo, dym, wszystko tylko nie czołg, który ma stad pośrodku ulicy obok Fundacji Staszica. Karabin maszynowy wystukuje i nagle słyszę krzyk komendy: „Verbindung links!” [\[Łączność na lewo!\]](#) i jeszcze coś. Więc między nimi a nami nie ma nikogo. Dostaję gęsiej skórki, na głowie, plecach, wszędzie. Wołam do Tadzika:

- Panie poruczniku, wejdą na podwórze i odetną nas na piętrze!

Jakby nie było jestem jedynym, co ma karabin, wyglądam bojowo i mój głos się liczy. Każda sekunda spóźnienia może kosztować życie. Tadzik wydaje rozkaz odwrotu. Pędzimy schodami. Pomyślałem o cywilach stłoczonych w piwnicy, ale zajęłoby co najmniej dziesięć sekund zbiec w dół i krzyknąć:

- Uciekajcie!

Wypadamy na podwórze, granatnik [\[Zgodnie ze stosowaną podczas Powstania terminologią, słowo „granatnik” oznacza w całej książce zarówno broń lufową, jak i wystrzeliwany z niej pocisk. Mianem „granat” określa się wyłącznie granat ręczny.\]](#) uderza w metalowy zbiornik w kształcie wysokiego walca. Strumień wody przyska w górę jak na obrazkach z wielorybem, chyba niewypał.

Nie oparliśmy się aż na trzecim podwórzu, skąd już normalnym krokiem doszliśmy do skrzyżowania Wroniej z Krochmalną. Nie było po co gonić, jasne że Niemcy nie potrafią posuwać się tak szybko, jak my się cofamy. Pogubiliby się, nie znając terenu. Ktoś skierował nas na barykadę w poprzek Chłodnej na rogu Wroniej, sto metrów w tyle od domu, który dopiero co opuściliśmy.

Poza barykadą zbiegowisko. Cywile pomieszani z powstańcami rozglądają się we wszystkich kierunkach. Jako jedyny z karabinem od razu zostałem otoczony przez kilku starszych ode mnie mężczyzn, którzy, by ułatwić mi pracę, wypatrywali Niemców. Sprowadzało się to do tego, że oni coraz to widzieli Niemca, a ja nie. Ten radził, jak trzymać karabin, by nie kopnął; tamten zaofiarował się strzelić za mnie, gdy po raz nie wiem który zawiódł mnie wzrok. Zacząłem denerwować się i pocić nie tyle ze strachu, ile ze wstydu,

że moi doradcy więcej wiedzą o wojnie, są bardziej rezolutni ode mnie i już wywączali, iż nie umiem strzelać. Co gorsza poznałem kilkunastu powstańców, współuczestników zbiórek na podwórzu browaru, a wśród nich kaprała Jura, kolegę z konspiracji. Wiele lat później widziałem podobną sceną na arenie w Meksyku. Niedoświadczony matador nie potrafił dobić słaniającego się, ciężko dyszącego byka i obaj stali, mierząc się wzrokiem. Tłum mężczyzn wdarł się na arenę, półkołem otoczył matadora i nuże zachęcać go do akcji.

Nacisk opinii publicznej na mnie osiągnął punkt szczytowy, gdy zobaczono Niemca w odosobnionym oknie, hen, wysoko w szczytowej ścianie, odległej chyba ze sto metrów. Ugiąłem się pod presją z obawy, że mi zabiorą karabin albo się poskarżą.

- Nie bój się pan, przyciśnij kolbę do ramienia.

Serce mi waliło z lęku, że trzymam karabin za luźno, że mnie kopnie. To by dopiero było pośmiewisko, zwalić się po strzale na ziemię i popłuć zębami! Celowałem w puste okno, to muszka była w lewo od okna, to szczerbinka w prawo od muszki lub na odwrót. Co docisnąłem kolbę do ramienia, lufa jechała w górę. Pociągnąłem cyngiel.

- Dobrze, dobrze, trafił pan tuż koło futryny - zarzucili mnie komplementami - szkop się schował.

Odryglowuję karabin, zaciął się, próbuję raz i drugi - łuska nie wypada. Wyjmuję zamek, cywile oglądają go, pokazują mi, że pazur wyciągu jest odłamany. Łuski z lufy w ogóle nie udało się wyjąć i karabin zepsuł się po pierwszym strzale. Mądrale tłumaczą mi, dlaczego zламаłem pazur.

- Idź pan do rusznikarza - pocieszają - nareperuje w try miga.

Wróciłem do Haberbusza i długo czekałem, bo rusznikarz z pomocnikami spokojnie reperowali kulomiot, któremu iglica się odłamała. Coraz to ktoś wpadał i ponaglał, bo Niemcy się pchali. Zaczął się nalot, warkot nisko lecących samolotów mieszał się z hukiem ognia broni pokładowej. Korzystając z chwili przerwy, gdy rusznikarz, cofnąwszy się o krok, obcierał ręce o spodnie, podsunąłem mu pod nos zamek. Rzucił okiem.

- Nie da rady - rzekł - do dupy.

Metalowym prętem wybił łuskę, oddał mi karabin i powrócił do kulomiotu. I tak zostałem rozbrojony po raz trzeci.

Patrzyłem, jak kończyli reperować karabin maszynowy. Rusznikarz założył taśmę, pociągnął spust i poszła krótka seria w

głęb piwnicy, potem druga.

- Iglica z miękkiego żelaza nie pożyje długo - wyjaśnił obsłudze.

Widząc, że wciąż czekam, obrócił się do mnie.

- Nie da rady - powtórzył - gdybym miał czas na takie duperele, mógłbym dorobić pazur z żeliwa, ale i tak by się pewnie złamał po pierwszym strzale.

Gdy wychodziłem z rusznikarni niosąc stalowy drąg, którym stał się mój karabin, dookoła paliły się domy i kopcilo w garażu Haberbusza. Nie mogłem odnaleźć Tadzika ani swoich, nie było zbiorów ani odliczania, na podwórzu browaru powstańcy stali grupkami. Natknąłem się na kaprala Jura. Okazało się, że złamanie pazura wyszło na zdrowie nie tylko Niemcom, ale i mnie. Wkrótce po moim odejściu granatnik wyrzucił w barykadę, opryskując żelazem cały tłum. Dziewiętnastu powstańców z mojej kompanii zostało lekko rannych drobnymi odłamkami, dwóch czy trzech odprowadzono do szpitala. Jura też zadrapało.

Porównanie wartości bojowej mojego karabinu ze stalowym drągiem było oczywiście przesadą. Broń funkcjonowała, jedyną trudnością techniczną było wydobycie łuski. Nie mogłem przecież po każdym strzale biec do rusznikarza. Zabieg polegał na tym, żeby wyjąć zamek, wsadzić do lufy żelazny pręt metrowej długości tak ostrożnie, aby nie podrapać gwintów, i delikatnymi uderzeniami wystukać łuskę. Z braku metrowego pręta musiałem się posługiwać krótkim grubym drutem, zwanym wyciorem, który jest umocowany tuż pod lufą, tam gdzie kończy się drzewce. Aby doprowadzić broń do stanu używalności, trzeba było po każdym strzale wyjąć zamek, następnie, postawiwszy karabin pionowo, kolbą na ziemi, upuścić wycior w głąb lufy, obrócić karabin w dół, zasłoniwszy uprzednio wylot lufy dłonią, żeby wycior nie upadł na ziemię i nie pobrudził się. Operacje te musiałem powtarzać, dopóki łuska nie wypadła, po czym należało podnieść wycior, wyczyścić go, wkręcić we właściwe miejsce, włożyć zamek i załadować. Po tym wszystkim broń była gotowa do strzału. Zależnie od szczęścia i zręczności wymagało to od kilku do kilkunastu zabiegów. Sztuka polegała na tym, aby ustawić lufę dokładnie pionowo, bo wówczas wycior spadając nie ocierał się o jej ściany, nabierał większej szybkości i, jeśli trafił w sam środek dna łuski, mógł ją wybić za pierwszym razem.

Podczas gdy doskonaliłem ten system, posługując się pustą łuską, zarządzono zbiórkę nieuzbrojonych w końcu podwórza browaru. Mnie też zagarnęli, jak się wkrótce okazało, jako uzbrojoną eskortę.

Porucznik Konar (nie mylić z podporucznikiem Kenarem, piegowatym w granatowej cyklistówce) oznajmił, że nieuzbrojeni pójdą na Stare Miasto, a uzbrojeni, którzy nie mają chęci walczyć, mogą zdać broń i dołączyć do nieuzbrojonych. Tu jego oko spoczęło na mnie.

- Wy w okularach - zwrócił się do mnie, tak jak to zwykli byli robić inni oficerowie, po czym zasugerował, bym oddał karabin takiemu, co nie ucieknie na widok pierwszego Niemca. Powiedziałem, że chcę walczyć. Taksował mnie wzrokiem przez parę sekund, po czym zajął się kimś innym. Konar najwidoczniej chciał zabrać mi karabin i dać żołnierzowi ze swojej kompanii. Na sekundę nogi mi zmiękły i ścisnęło w gardle, bo już myślałem, że mnie znowu rozbiorą. Gdzie się oni nauczyli tej sztuki, że jednym zdaniem, gestem, spojrzeniem wypruwali człowiekowi bebeczy.

Kolumna nieuzbrojonych ruszyła Grzybowską ku wschodowi, potem skręciła w lewo. Schyleni przebiegliśmy za barykadą w poprzek szerokiej ulicy, potem przeskakiwaliśmy płytkim przekopem za osłoną z płyt chodnikowych wśród pokrzykiwań:

- Prędzej! - Gazu! - Uważać, snajper!

Ludność, stojąc grupkami, przyglądała się naszemu odwrotowi, o ile w ogóle można było odróżnić, kto szedł do bitwy, a kto dawał drapaka, gdyż wszystkie drogi prowadziły do Niemców. Wręczali nam paczki papierosów, jak gdyby palacz lepiej spisywał się na polu bitwy i chętniej przelewał krew za ojczyznę od niepalącego. Ja wołałbym miętowy cukierek lub krówkę, nie mówiąc już o jabłku czy pomidorze, ale brałem papierosy na handel, choć rynek był nimi zarzucony. Młoda kobieta, wskazując mnie towarzyszowi, powiedziała:

- Popatrz, popatrz, jaki lotnik!

W końcu wydostaliśmy się z tego labiryntu na spokojną ulicę bez barykad, przekopów i snajperów. Szliśmy jezdnią, sporo domów po obu stronach stało w ogniu. Ktoś wyjaśnił - to Długa. Marsz urozmaicaliśmy sobie rozmową. Zarysowały się dwa główne tematy: Niemcy i bracia Rosjanie. Pierwsi pędzili ludność przed czołgami, drudzy dopiero co mieli rozbić Niemców koło Góry Kalwarii i już śpieszyli nam na pomoc. Podobno Wehrmacht już nie chciał się bić i Hitler rzucił do boju oddziały SS, aby w ostatniej chwili odegrać się na Warszawie. Innym wskaźnikiem słabości wrogów jakoby było to, że usiłowali spalić miasto bombami, zamiast nacierać piechotą. Używanie ludności do osłony czołgów i piechoty też uważano za dowód, że nieprzyjacielowi brakowało odwagi, aby zmierzyć się z powstańcami „oko w oko, pierś w pierś”. Początkowo Niemcy pędzili

cywilów luzem, ale ostatecznie, by zapobiec ucieczce, szczepiali ich w długi łańcuch powrozem okręconym wokół szyi, wiązali do drabiny, bądź też przez głowy stojących rzędem wciskali drabinę w dół aż do pasa.

Nigdy Warszawa nie wydawała mi się tak ogromna, jak w czasie tego powolnego marszu. Idziesz, idziesz i kresu nie widać. Spoza rogu, zza barykady, pośród dymu wyłaniają się nieznane budowle, ulice. Nigdy tu nie byłem i nie wiem, gdzie jestem. Jak wzburzone morze, nic nie widać poza grzywą najbliższej fali. Wiele razy zmienialiśmy kierunek. Ulica rozszerzyła się i zatrzymaliśmy się obok płaskiego, rozległego, kwadratowego, starodawnego budynku, którego wygląd nie był mi obcy. Przejeżdżałem wtedy tramwajem. Po krótkim postoju weszliśmy pod arkady. Zaraz na skraju, gdzieś w chodniku była zapadlina, niewielka wprawdzie, niemniej ktoś na przodzie zawołał - uwaga, dziura! Powtarzana wielokrotnie przestroga ta biegła ku tyłowi maszerującej kolumny, odbijając się słabym echem od półkolistych sklepień. Zarządzono odpoczynek. Cały oddział, ze stu chłopów lub więcej, uwalił się na chodniku pod stropem podpartym arkadami. Miejsce postoju było i przewiewne, i zapewniało jednocześnie osłonę w razie nalotu, zwłaszcza że mur był metrowej grubości. Miło było z dala od płonącej Woli drzemać na chłodnych płytach pod płaskorzeźbą zwycięskiej Nike w oczekiwaniu na zakwaterowanie i prowiant. Spryciarze szybko dowiedzieli się, że obok, w wielkim gmachu o nazwie Pasaż Simonsa, znajdują się sklepy konfekcji, głównie damskiej. Poszli i wrócili z łupem, napychając plecaki ile wlezie, zmieniając przy tym własną brudną bieliznę.

Od tyłu siedząco-leżącej kolumny wzniósł się gwar głosów, echo niesie się pod arkadami:

- Rosjanie na Rakowieckiej! Podniecenie wzrasta. Kolumna wstaje.

- Rosjanie na Rakowieckiej!... Hurra, hurra!

Wytrzymałiśmy do nadejścia odsieczy. Jeszcze chwila i zaczną się ścisnąć i całować. Przez łańcuchy spinające arkady przeskakujemy na jezdnię.

- Hurra! - Hurra!

Lecą w górę czapki, hełmy, menażki, manierki, kurtki. Teraz dopiero widać, jak każdy gryzł się, choć tego nie okazywał. Wpada podporucznik, próbuje uciszyć tłum.

- Rosjanie są naszymi wrogami - gdy wejdą - zachowajcie się z

godnością. Nie zapominajcie o tym. Muszą zrozumieć, że uważamy ich za wrogów.

Położyłem się pod sklepieniem arkad bez żalu, że już po wszystkim, zadowolony, że zdążyłem powąchać prochu, zanim Powstanie dobiegło końca. Zamknąłem oczy, jednak ciało nie mogło wypoczywać, bo umysł wciąż galopował. W ostatnich kilkunastu godzinach wydarzyło się więcej, niż w reszcie mojego życia. Wschód słońca nad Towarową, uciekinierzy, ściana dymu, podmuch eksplozji, *Verbindung links*, pierwszy i ostatni strzał z karabinu, nalot, płonące ulice.

Przychodzi nowy rozkaz. Z powrotem na Wolę. Opuszczamy przytulny Arsenał. Kolumna wije się i kluczy, obchodząc pożary, doły, barykady, otwarte przestrzenie. Od czoła wciąż biegną ostrzeżenia, widać jak głowa po głowie obraca się ku tyłowi - po lewej niewypał - woła pierwszy - niewypał, niewypał, niewypał! - powtarzają następni... - uwaga dziura, dziura, dziura! - po prawej snajper, snajper, snajper!... Zmierzcha się powoli. Czasem ogon kolumny powtarza jeszcze, jak oddalające się echo - dziura, dziura, dziura!... gdy od przodu już słychać - niewypał, niewypał, niewypał!...

Najpierw idziemy jezdnią, domy palą się po obu stronach, okazuje się, że nie jest to ulica Długa. Przekop, płyty chodnikowe, masywna barykada w poprzek szerokiej ulicy, labirynt pomniejszych barykad, a oto poznaję w mroku znajomą bramę browaru Haberbusza. Słychać niedaleki i niezbyt gęsty grzechot wystrzałów. Lis jest podobno ranny. Nie wiadomo, gdzie znajduje się kompania i kto nią dowodzi.

Od razu oddzielono nas, paru uzbrojonych, i skierowano na Wronią róg Krochmalnej. Stąd ktoś zaprowadził mnie na sam szczyt klatki schodowej i postawił przy oknie, powyżej trzeciego piętra. Na parapecie leżały worki z piaskiem. Przede mną mieli być Niemcy. Wpatrywałem się w ciemność. Widać było nikielne zarysy dachów, kominów, ścian, zaróżowione lekko odbłaskiem ognia, między nimi czarne studnie podwórek. Ani na chwilę nie opuszczała mnie świadomość, że po każdym strzale, nim wybije łuskę z lufy, staję się bezbronnym na kilka minut. Za dnia łatwiej i prędszej można było wykonać pod kontrolą wzroku te wszystkie manewry z karabinem. Wysuwam głowę. Jak tu w nocy można zobaczyć Niemca. Worki na pewno przyciągają uwagę. Czuję się, jakby stuwatówka świeciła mi się nad głową. Myślą byłem nieustannie na parterze. Ci na dole uciekną, a mnie nie zawiadomią. Co się wychylę ponad worki, mdło mi się robi. Nic straszniejszego, jak zostać odciętym pod dachem. A

Niemcy dom podpalają!... Nadsluchiwałem odgłosów z dołu od klatki schodowej... Koledzy już się wycofali. Jeśli zaraz nie zejść, będzie za późno, aby zbiec na dół i sprawdzić. Zbyt żywo miałem w pamięci wypadki dnia, gdy to sami dwukrotnie opuściliśmy pozycje bez oddania strzału. Opodal wyleciała nad dachy rakietą, jedna, druga... Rozległy się serie karabinów maszynowych. Nagle poczułem czy usłyszałem, że piasek z worków sypie się na podłogę. Może mi się zdawało, a może po prostu okłamałem siebie samego, aby wytłumaczyć opuszczenie stanowiska, w co później sam uwierzyłem. Przypominam sobie jak przez mgłę i tylko we fragmentach, co nastąpiło potem, gdy z zachowaniem wszelkiej ostrożności zszedłem na parter. Strach przed Niemcami i popędzał mnie, i zwalniał. Nie pamiętam, czy nie zastawszy nikogo na dole, wypadłem na ulicę, gdzie natknąłem się na powstańców, czy też, słysząc kroki na ulicy, przyczałem się na parterze, dopóki nie okazało się, że to nasi.

Wtedy to chyba dowiedziałem się, że podporucznik Kenar, piegowaty w granatowej cyklistówce, leżąc na strychu na stanowisku, dostał odłamkami w plecy i jest z nim źle, ppor. Tytus o wpadniętych oczach, podobny do Goebbelsa -ranny, ppor. Tadzik - ranny i zaginął.

Wpadłem na pomysł. Od posiadaczy karabinów wyblagałem dwa wyciory i skręciwszy je z moim własnym, miałem w ręku pręt wystarczająco długi, aby dosięgnąć dna łuski. Teraz mogłem ją wybić jednym uderzeniem. Dzięki temu, przy dobrej synchronizacji ruchów, byłem w stanie oddawać strzał co minutę.

Ktoś wpadł wołając o posiłki. Mój karabin znowu przykuł uwagę i za chwilę znalazłem się w bramie domu, który dopiero co opuściłem. Stamtąd we dwóch wybiegliśmy na podwórko, a następnie przez otwór w murze na większy dziedziniec. Znowu dziura w murze, wąskie podwórko, jeszcze parę kroków i weszliśmy na pierwsze piętro opustoszałego domu. Powstańcy obejrzeni się na mnie.

- Krok, starszy strzelec - przedstawiłem się.

Jest nas sześciu w ciemnym mieszkaniu, którego okna wychodzą na ulicę Chłodną zalaną światłem księżyca i blaskiem pożarów. Zaraz w prawo widać tę samą barykadę, gdzie po południu zepsułem karabin. Na lewo, w odległości 200 metrów, przy Fundacji Staszica, powinna stać barykada w poprzek Wolskiej, teraz niewidoczna w mroku i dymie. Stamtąd z ciemności ruszą na nas lada chwila. Poznają strzelca Małego po głosie i wysokim wzroście. Raz po raz ktoś ostrożnie wygląda na ulicę. Całe życie koncentruje się na

oknach. Mówimy półgłosem. Powoli orientuję się, że nikt tu nie dowodzi.

Wkrótce dwa czołgi ruszają ku nam z Kercelaka, słysząc motory, coraz głośniejsze. Mały wynajduje nową broń przeciwpancerną. Na jego komendę krzyczymy:

- Uraaa, uraaa, uraaa!... i czołgi iskrząc cofają się ku Kercelakowi. Pierwsze w moim życiu starcie z bronią pancerną zakończyło się zwycięstwem. Od tej chwili głos Małego liczy się więcej od innych. Pociski rwą się na skrzyżowaniu poza nami i na barykadzie. Kurzawa, której nie przebija ani zielonkawa poświata księżycy, ani czerwony odblask ognia, wznosi się na kształt olbrzymich kalafiorów, pęcznieje, rośnie, kłębi się i zlewa w jedną chmurę. Przesuwam szafę pod okno, aby odłamki nie prysnęły do pokoju, gdyby pocisk uderzył we framugę. Pierwszy raz w życiu ustawiam meble jak chcę, nie pytając o pozwolenie. Znowu słysząc motory. Podjeżdżają, biją z kaemów. Pod batutą Małego krzyczymy chórem „uraa, uraa” i czołgi znowu cofają się. Cieszymy się jak uczniaki, którym udało się nabrać nauczyciela.

Ktoś się może zdziwi, dlaczego zamiast polskiego „hurra” wołaliśmy rosyjskie - „urra”. Polskie „hurra” zbyt traciło harcerstwem, „urra” brzmiało groźniej, zapewne przypominało Niemcom wschodni front. Poza tym, polskie „hurra” trudniej jest wymówić od rosyjskiego „urra”, a co dopiero wykrzyknąć.

Znowu pociski rwą się na skrzyżowaniu i kurzawa przesłania barykadę. Czarne sylwetki pokazują się z lewa po drugiej stronie ulicy. Strzelam, wyjmuję zamek, wsuwam pręt do lufy, wybijam łuskę, wkładam zamek, rygluję. Postaci już nie ma, a kulomioty biją bez przerwy. Z racji zepsutego karabinu ktoś przezwiał mnie Muszkieterem. Wszystkim się to od razu spodobało i co raz to wołają: - Muszkieter tu - Muszkieter - tam. Muszkieter ma rację. Po głosie poznaję, że się uśmiechają.

Biegnę na strych poszukać stanowiska, skąd można by było mieć na oku całą ulicę. Obchodzę mroczne, rozjaśnione blaskiem ognia mieszkania, zaglądając niemal do każdego zakamarka, bez lęku, że koledzy wycofają się nie czekając na mnie. Nigdy do nikogo nie miałem takiego zaufania, jak do tych kilku nie znanych mi cieni. Wszystkie drzwi są otwarte, ani żywego ducha. Słyszę tylko suchy trzask strzałów i stuk własnych, podkutych butów. Odnajduję okno w bocznej ścianie wychodzące na zachód, wprost na Niemców. Miejsce dobre na stanowisko kaemu. Stąd pewnie dałoby się dostrzec zarysy

Fundacji Staszica, gdyby nie dym. Zbiegam na dół. W ciemności zaledwie sylwetki można odróżnić. Jesteśmy tylko cieniami i głosami, ale rozumiemy się, jakbyśmy się zawsze znali czy urodzili pod tą samą gwiazdą. Nikt nie rozkazuje. Rzucisz sugestię, jeśli ma sens, wszyscy wykonują. Gdy krzyknąłem „podsuwać szafę do okna”, od razu paru podbiegło z pomocą. Jesteśmy wysepką życia, nocą, w pustym domu na płonącej ulicy. Już nie przypominam sobie, kto był ze mną, prawdopodobnie nigdy ich przedtem nie znałem i, poza Małym, może nigdy później nie spotkałem. Jeśli który żyje, to wszystko co pamięta o mnie, jest to, że jednego z sześciu zwali Muszkieterem.

Wychylać się już nie można. Odróżniam znajomy dźwięk - zgrzyt kul ślizgających się wzdłuż naszej ściany i natychmiast dzielę się tym spostrzeżeniem. Niemcy musieli zauważyć błysk strzałów. Lepiej zmienić stanowisko.

Czołgi znów się wolno toczą, a my stosujemy naszą wypróbowaną „Wunderwaffe” [Cudowna broń; nowa broń, która miała przechylić szalę zwycięstwa na stronę Niemiec].

- Uraaa!, uraaaa! i, jak można było oczekiwać, czołgi zatrzymują się. Idę do ubikacji. Drzwi same zatrząskują się za mną, a gdy wyskakuję z niej, widzę, że każdy spluwa, prycha i ociera twarz.

- Muszkieter, na stanowisko ogniowe!

Czarne sylwetki ukazują się z lewa. Strzelam, odstępuję w głąb pokoju, wydaję zamek, wsuwam pręt do lufy, wybijam łuskę, wkładam zamek, rygluję. Inni strzelają z okien. Karabiny maszynowe biją chyba do nas. Wielkie podniecenie, dwóch Niemców leży na ukos po drugiej stronie ulicy. Wypatruję, ale nic nie widzę. Pokazują palcami, tłumaczą gdzie, ledwo jednego zobaczyłem. Już nic nie mówię, bo jeszcze by mi który poradził: „Muszkieter, zdejm okulary”. Niemiec leży u stóp dwóch kolumnienek, chyba mundur na nim się pali. Ponad zabitym dom w ogniu. Im dłużej patrzę, tym mniej leżący wygląda na człowieka. To może tylko szmaty się tłą. Biegnę po pomoc do browaru Habermusza. Ku mojemu zaskoczeniu o niecałe sto metrów, przy skrzyżowaniu Krochmalnej z Wronią, stoi kompania uzbrojona prawie po zęby.

Podchodzę do ich dowódcy, porucznika Klima, pręzę się:

- Panie poruczniku, bronimy się w domu na Chłodnej. Niemcy atakują, piechota z czołgami, jest nas tylko sześciu, a mnie pazur wyciągu odłamał się i nie mam czym strzelać.

Musiałem być bardzo rozgorączkowany. Klim pyta:

- Wasz stopień? Pseudo?

- Starszy strzelec Krok - melduję.

Na to Klim odwraca się do powstańca stojącego obok:

- Podchorąży Sław, dajcie mu swój karabin!

Wymieniamy karabiny, a Klim do mnie przed frontem kompanii, której koniec zamazuje się w ciemności:

- Jesteście kapralem.

Nie wiem, co powiedzieć: tak jest, czy dziękuję. Więc salutuję tylko i biegnę z powrotem. Przemykam się podwórkami, przełazę dziury i odnajduję mieszkanie na pierwszym piętrze.

Nic się nie zmieniło, księżyc świeci, dom naprzeciw na skos płonie, przedmioty rzucają podwójne cienie, nieruchome od księżyca, drgające od ognia. Zgrzyt kuł o mur. Znowu czarne postacie suną po drugiej stronie ulicy, tym razem bliżej. Przechodzą pod płonąca kamienicą. Strzelam raz za razem, a oni idą nieco bokiem, twarze zwrócone ku nam, i znikają w wąskiej bramie z filarkami. Idą, jakby to nie była wojna, nawet nie przyśpieszają kroku. Dotąd nie pomyślałem, że Niemcy mogą posuwać się po naszej stronie ulicy. Ale ktoś ich już usłyszał czy zobaczył i do mnie:

- Muszkieter, rzucaj granat!

Dla mnie rzucić granat, to jak pierwszy skok ze spadochronu - skoczek liczy: sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy i ciągnie sznurek. Z granatem jest na odwrót, wpierw ciągniesz, potem liczysz. Jeśli lont za krótki, eksploduje w rękę. Za wcześnie rzucisz, zdążą odbiec. Waham się. Mały ofiaruje się rzucić za mnie. W ten sposób tracę granat, którego przez trzy dni strzegłem jak oka w głowie, na czarną godzinę.

Niemcy są już w bramie naszego domu - brama na szczęście zaryglowana. Próbuje ją wyłamać, wszyscy to słyszą z wyjątkiem mnie. Odwrót biegiem. Zatrzymaliśmy się na Krochmalnej, meldując o opuszczeniu stanowiska. Nikt nas nie pochwalił, nikt nie zganił.

Wkrótce nieznany oficer dał mi nowe zadanie. Oto przede mną jest podwórze, przejście pod domem i jeszcze jedno podwórze, z tyłu też podwórze. Jeśli ktokolwiek pokaże się, a stamtąd nie nadejdzie nikt inny niż Niemcy, mam strzelić i wycofać się.

Dostałem do dyspozycji łącznika uzbrojonego w granat, starszego ode mnie o parę lat, o chytrej twarzy i zadartym nosie. Porucznik przyrzeka, że w razie odwrotu powiadomi nas. Łącznik jest wyraźnie niezadowolony ze swego przydziału, niechętnie wykonuje moje polecenia i wręcz odmawia, gdy mu każe zająć stanowisko z przodu

podwórza, podczas gdy ja obstawiam przejście pod domem. Zmęczenie bierze górę i coraz trudniej opierać się senności, zwłaszcza że już sama cisza usypia. Nie ma znaku ludzkiego istnienia, stapań, głosów, strzałów. By ulżyć powiekom, zamykam oczy na parę sekund, potem znów wbijam wzrok w ciemność i tak na zmianę. Coraz łatwiej je zamykać, coraz trudniej otwierać. Przydałby się bardziej słuch w ciemności, ale po raz pierwszy w życiu w uszach mam jakby watę. Chłodny powiew, zamiast rzeźwić, jeszcze bardziej odpręża. Rozmowa z łącznikiem nie klei się; mam wrażenie, że chce prysnąć. Daję więc do zrozumienia, co mu grozi w razie próby ucieczki. Skutek jest taki, że zamilkł. Muszę uważać na Niemców i na niego. Lękałbym się zostać sam; jego obecność dodaje mi ducha, podobnie jak towarzystwo psa nocą na cmentarzu. Opieram się o ścianę, aby ulżyć nogom, zasypiam, śnię; budzę się, gdy zaczynam padać. Wydaje się, że całe miasto śpi z wyjątkiem mnie i tchórzliwego łącznika.

Niektóre gwiazdy zaczynają blednąć, zarysy podwórza widać lepiej. Uderza mnie, że dotąd nikt się nami nie zainteresował i nagle senność ulatuje. Posłać łącznika do tyłu, zasięgnąć języka? Wiem, że nie wróci. Pytam go o zdanie, też się boi, że nas zostawili, a sami uciekli. Więc decydujemy się na - w tył zwrot i biegiem marsz. Wypadamy na jakąś pustą ulicę, nie ma kogo zapytać o kierunek. Jest jaśniej niż na podwórzu i zaraz będzie widno. Niebo różowi się po jednej stronie, więc chyłkiem pod ścianami biegniemy ku słońcu.

Natknęliśmy się na powstańców. Zamęt, bezhołowie, łącznik zgubił się natychmiast. Wszedłem do komendy jakiegoś zgrupowania, by dowiedzieć się o mój batalion. Na podłodze znajduję piękny, polski, oficerski pas, galowy, z prawdziwej skóry, jasnobrązowy, inkrustowany mosiądzem, z mosiężnymi kółkami i od razu go nakładam. Wokół walają się kurtki niemieckie z białoczerwonymi opaskami.

Podchodzę do samotnego majora, melduję się jako kapral Krok i pytam o „Chrobrego”, a on na to:

- Zdezzerterowałeś!

- Mój batalion zdezzerterował - odcinam się. Major popatrzył na mnie.

- Chcesz walczyć?

- Nic innego do tej pory nie robiłem - powiadam.

Nigdy w życiu tak nie mówiłem, jeszcze wczoraj bym nie potrafił. Major proponuje mi, abym przyłączył się do ochrony jego sztabu, co

akceptuję.

- Masz dość amunicji?

Już mi świta w głowie, że prawda zawsze na pstrym koniu jeździ.

- Mam tylko piętnaście naboí.

Nie przyznaję się do trzydziestu. Na to major podsuwa mi pudło pełne kul na dnie; na jego oczach biorę, ile się da, to znaczy około pięćdziesięciu naboí. Mógłbym wziąć i więcej, ale wstyd mi było wykorzystywać majora w sytuacji, gdy mu wszyscy ludzie uciekli.

Major wyszedł na chwilę, ja też. Widzę oddział Wiernego w szybkim marszu: Edek, Krypto, Kawka, Kuba, Kobuz, Czarnota, Barykada bez fajki, Cygan i Pietrek. Judasze, wydali mnie w ręce Lisa. Zobaczyli mnie. Wołają, machają rękami. Dołączam biegiem, odtąd będziemy razem, póki życia stanie.

Wygląda na koniec Powstania, osłaniamy nie wiadomo czy odwrót. Powstańcy bez broni, tyłowe formacje masowo przebierają się w cywila, czyli cywilizują się. Fakt, że opuszczamy Warszawę, nie podlega dyskusji. Są zwolennicy przebijania się do Kampinosu i do Rosjan, ja jestem za tym drugim kierunkiem, w mniejszości razem z Edkiem. Po wymianie argumentów moja opinia przeważyła. Jedynym problemem jest przedostanie się pod wiaduktem mostu Poniatowskiego na północ, ale dobrze poinformowani o położeniu w mieście powiadają, że obsada mostu jest słaba i że po salwie do Niemców można pod wiaduktem przebiec. W najgorszym razie zaczeka się do zmroku i przebiegnie bez salwy.

Po krótkim marszu pada rozkaz zorganizowania obrony Chłodnej. Ludność schowała się przed nami, bramy pozamykane, na pukanie i wołanie nie ma odpowiedzi. Trochę pomaga łomotanie i walenie kolbami.

Pierwszego dnia Powstania Niemcy zapowiadali przez megafony, że każdy dom, z którego padnie strzał, zostanie zburzony. Widocznie cywile wyobrażają sobie, że i na odwrót, każdy dom, z którego nie padnie strzał, będzie oszczędzony.

Ledwo ustawiliśmy się, przychodzi nowy rozkaz: cofać się. Od zachodu dolatuje *staccato* karabinów maszynowych, długie serie, potem cisza, echo niesie pustą ulicą jak wężem. Zwijamy się i robimy odskok ku wschodowi. Po drodze stoi niemiecki skład odzieżowy. Ktoś wskazuje plecaki z brązowym futerkiem, jakie nosiła niemiecka policja. Niezbyt pojemne, ale ładnie wyglądają. Każdy bierze po jednym. Znowu rozkaz zorganizowania obrony. Zatrzymujemy się niechętnie. Paru zostaje na ulicy jako

ubezpieczenie, a reszta sadowi się na klatce schodowej. Sytuacja sprzyja wymianie poglądów na położenie wojskowe Powstania, a raczej brak takiego, na nasz system dowodzenia, cechy osobiste oficerów i plany na przyszłość. Biorę żywy udział w dyskusji i znajduję oddźwięk do tego stopnia, że Kobuz-służbista przypomina mi, iż właściwie to ja nie należę do kompanii Wiernego.

Głośne *staccato* karabinów maszynowych podrywa nas na nogi. Widocznie Niemcy idą za nami równym krokiem. Odskokczyliśmy do kościoła Karola Boromeusza, *staccato* oddaliło się, przycichło.

W oknach domów jeszcze są szyby. Nigdy tak silnie nie odczuwałem piękna i czaru Warszawy, jak w tym dniu jej śmierci. Ulica Chłodna rozszerza się i rozwidla otaczając kościół jak zamek na wyspie pośrodku rzeki. Pusto, ludzie pochowali się, ptaki odleciały. Chodzę dookoła i przyglądam się kamiennym postaciom świętych, girlandą opasujących kościół. Obojętne twarze patrzą w przeszłość czy przyszłość, my uciekniemy, ludność wymordują, one tylko zostaną, najwyżej ogień trochę je osmali.

Serie kaemów znowu głośniejsze. Śmierć sunie za nami pewnie i nie tak powoli. Wysoko, pod bezchmurnym niebem, coraz to lecą na wschód klucze heinkli, skrzydła ich mienią się błękitnym, metalicznym blaskiem. Klęska jak 1939 roku, tyle, że to wszystko trwało sześć dni. Pojawia się dowódca batalionu, kapitan Sosna. Ruszamy w drogę śladem heinkli. Hala Mirowska niesamowicie wygląda, tak siwa od pyłu, jakby stała nie w słońcu, a w poświęcie księżycy. Znowu zatrzymują nas, bo ktoś przybiega z wieścią, że obok, w sądach, jest magazyn butów wojskowych i można je brać, ile kto chce. Wielu z tego korzysta, co powoduje opóźnienie marszu. Tak się niecierpliwę, iż uwadze mojej uchodzi prosty fakt, że rozdają buty powstańcom dopiero teraz, gdy Niemcy już są za rogiem.

Tymczasem Sosna rozmawia z oficerami. Obok niego stoi szef sztabu batalionu, kpt. Kamień. Podobni jak sosna do kamienia. Jeden spokojny, powściągliwy, smukły, wysoki, postawny, łysawy blondyn; drugi swarliwy, krępy, czarniawy, włochaty, sękaty, w okularach. Sosna drapie się po łysawej głowie, zastanawia, rozgląda, a mnie wściekłość rozpiera na to zwleknięcie. Mówię, że to nie głupota, ale pewnie zdrada, że powinniśmy się odłączyć i na własną rękę przebijać na południe, do Rosjan. Nawet Kobuz nie reaguje. Ani na chwilę nie wątpię, że byliśmy strażą tylną, którą dowództwo nie zawaha się rzucić Niemcom na pożarcie, aby ocalić siebie i swych popleczników.

Klucząc, przysiadając, przystając, rozwijając się i zwijając, niecierpliwiąc, burząc i nic nie rozumiejąc, około południa znaleźliśmy się w ogrodzie Krasieńskich, gdzie nigdy jeszcze nie byłem. Po jednej stronie mur getta z rudej cegły, po drugiej wysokie budynki, po trzeciej metalowa siatka, szeroka ulica, a za nią znowu ogród. Pokładliśmy się wśród gęstej trawy pod drzewami dla ochrony przed palącym słońcem, wciąż dyskutując, co robić. Przeważało zdanie, że lepiej poczekać do nocy i po ciemku wydostać się z miasta. Szelest liści na wietrze przytłumiał odgłosy wojny.